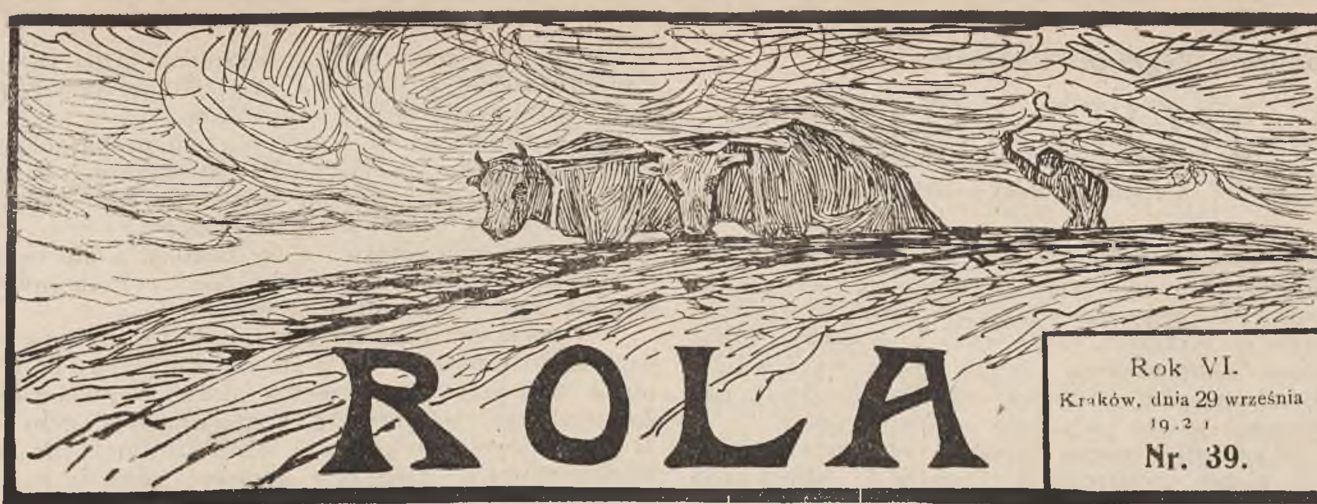


ROLA

Rok VI.
Kraków, dnia 29 września 1912
Nr. 39.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Ks. Skarga o miłości ojczyzny.

Polak jestem; dla Polaków tylko żyję, myślę i piszę!« Te słowa wyrzeczone przez księdza Skargę stanowią zasadę wytyczną jego działalności publicznej i miłości ojczyzny. Przez całe życie ks. Skarga walczył słowem i pismem za ten ideał narodowy; przez całą istność swoją Polska za miłość ojczyzny krew wylewała, dopóki jej całej nie wylała. Zasłużeńszego syna ojczyzna polska nie miała.

Można wprost powiedzieć, że żaden naród katolicki nie posiadał lepszego orędownika miłości ojczyzny, jak naród polski w osobie ks. Skargi. Ojczyznę każe ks. Skarga tak tkliwie i skutecznie kochać jak matkę; owszem ona sama jest matką. »Jako najmilejszej matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła, wychowała, nadała i wyniosła!... A która jest pierwsza i najzasłużeńsza matka jako ojczyzna, od której imię macie i wszystko, co macie, od niej jest?«

Według ks. Skargi najwyższemi pojęciami są Bóg, ojczyzna i rodzina. Jakże blade jest nasze dzisiejsze pojęcie oderwane od ojczyzny pod mianem narodowości wobec żywych i ognistych pojęć ojczyzny ks. Skargi, któremi łyskał w sercu i mózgu narodu tak na mównicy królewskiej jak w życiu powszedniem! Nie dziw, że gdy ojczyznę poćwiartowano, naród dochodził w żalu do obłędu, skoro mu według nauki ks. Skargi zabito matkę pierwszą i najmilejszą. To też cnota miłości ojczyzny, którą sobie każdy Polak, czy dobry, czy zły za punkt honoru poczytywał i poczytuje, nie byle jakim przymiotem przyrodzonym była. Nauczyciel narodu nazywa miłość ku rzeczypospolitej Boską cnotą.

Jeszcze świetlistsze przymioty wysuwa ks. Skarga z pojęcia ojczyzny, gdy roztrząsa w swoich kazaniach rzecz, co nam ojczyzna dała. Przez nią to stało się, że jesteśmy Polakami, katolikami, chrześcijanami. Ona pobudowała świątynie Boże, rozszerzyła słupy graniczne i mowę ojczystą i sławę wojenną i naukę chlubną i pieśń polską. Raz ją nazywa komorą dóbr, to znowu okrętem bezpiecznym; bo tkliwość ks. Skargi i dla niej jest osadzona na symbolach biblijnych i na poezyi ludowej.

Z drugiej strony wymaga ks. Skarga dla ojczyzny wielkiej za te dobrodziejstwa wdzięczności, pamięci, czci, miłości. »Jeżeli cię zapomnę, ojczyzno moja, Jeruzalem moje, niech zapomnę prawicę ręki swojej. Niech język mój przyschnie do ust moich, jeżeli pomnieć na cię nie będę, a jeżeli cię na czele wszystkich pociech moich nie położę«. Ale nie kończy się miłość ojczyzny na uczuciu, lecz wymaga czynów. Dlatego na ołtarzu ojczyzny łożyć powinniśmy ofiarność i poświęcenie przez wierną służbę, choćby przez przelanie własnej krwi.

Jeżeli z ojczyzny płyną dobrodziejstwa, a z strony człowieka i obywatela pewne dla niej obowiązki, to też istnieją grzechy i występki przeciwko miłości ojczyzny. A temi są samolubstwo, prywata, serce zimne, gonitwa za własną korzyścią, choćby ze szkodą miłej ojczyzny. Inny grzech przeciw ojczyźnie, to marnotrawstwo i próżniactwo, które majątek narodowy uszczuplają i marnują. Ale największem wykroczeniem, to niezgoda i warcholstwo, u Polaków prawie przysłowiowe. Na te to grzechy, a zwłaszcza na niezgodę rzucał ks. Skarga gromy swej straszliwej wymowy; sromotą bowiem uważał niezgodę. I nietylko sromotą, ale ją uważał za śmierć ojczyzny. I te właśnie rozwielmożnione grzechy sprawiły, że ks. Skarga stał się prorokiem zguby i upadku ojczyzny. »Nastąpi postronny nieprzyjaciel, jąwszy się za waszą niezgodę i mówić będzie: rozdzieliło się serce ich, teraz poginą«.

Nasza ojczyzna choć powiązana żyje, bo żyje społeczeństwo polskie. Ono i dziś w przestrogach ks. Skargi przewodnika znajdzie, aby się pochyłych dróg wystrzegać, a piąć się w górę do wybudowania gmachu ojczystego według ks. Skargi.

Bolesław Zygmunt Gnoiński.

ROK 1813.

Z dziejów wojska polskiego.

V.

W chwili, kiedy książę Józef Poniatowski, jak wiemy już z opowiadania, zajmuje się tak trudną organizacyą swej armii, książę Adam Czartoryski przysyła do Krakowa radcę stanu Linowskiego i prokuratora Szaniawskiego i wielu innych wymownych pośredników, aby spróbować raz jeszcze przekonać i odciągnąć wodza polskiego od Napoleona.

W początku marca wręczają mu nawet własnoręczne pismo monarchy Aleksandra I, adresowane do Czartoryskiego, w którem cesarz radził pozostać w Warszawie, z zapewnieniem dość ogólnikowem (»nie będą tego żałowali«) Teraz jednak, jak pojmował wódz polski, nie było już czasu zastosować tej rady, tak bowiem postąpiwszy, nietylko nie zabezpieczonoby interesów Polski, lecz nawet i interesów Aleksandra I, a tym sposobem działanoby rzeczywiście tylko dla Prusaków.

Tymczasem, jednocześnie z temi radami, Austryacy z powodu tajemnych rokowań, już wtedy myśleli, czy nie lepiejby było dla ich interesów, zaatakować znienacka i doszczętnie zniszczyć wojsko polskie.

Dziwić się doprawdy należy, w jaki sposób wódz polski mógł, wśród tak trudnych warunków, usuwać wszelki materyał wybuchowy od palącej się głowni, i aż półtrzecia miesiąca przebyć w Krakowie.

Na szczęście, jak od początku, podczas zdrady Szwarcenberga pod Warszawą, nie zgodził się w niej pozostać, tak też i teraz, wyczuwając szlachetnym instynktem ostateczną swą zgubę, stanowczo odrzucił myśl natarczywej pertraktacyi, dążącej do rozbrojenia swej armii. A kiedy w ostatnich chwilach pobytu w Krakowie podsuną mu propozycyę rosyjskiego generała Sackena, znów tyczącą się rozbrojenia wojska, wódz polski wpada w gniew, wymawiając:

— Nie dopuszczę do tego, aby traktowano mnie jako naczelnika górali kaukaskich, lub dagestańskie książątko.

Dla dopełnienia miary nieszczęść, ujrzał się wódz polski zachwianym przez własnego monarchę, gdyż Fryderyk August, wystraszony dotychczasowemi niepowodzeniami Napoleona, zaczął robić układy z dworem wiedeńskim o wydanie Księstwa Warszawskiego, byleby tylko wyratować Saksonię z pod ręki pruskiej.

Miało to ten skutek, że król saski i ks. warszawski w jednej osobie, zawarł umowę z dworem wiedeńskim, zalecając przejście korpusu polskiego przez Austryę, która później przy likwidacyi długów Księstwa, pretensyj swoich z tego powodu zaliczyć nie omieszkała.

Gdy Fryderyk August tak działa, przeciwne rozkazy odbiera Poniatowski od Napoleona, zakazując mu poddawać się rozbrojeniu przez Austryaków.

Zaiste, w prawdziwie krzyżowym ogniu różnych zapatrywań stał Poniatowski, gdyż nie można pominąć i tego, że z Warszawy przyjechał do niego jeden z księży Bernardynów, wysłany od »patryotów«, prosząc go, aby jak najśpieszniej wracał do Księstwa, i tu wraz ze znajdującemi się wojskami polskiemi, a także z pospolitem ruszeniem, zaczął akcyę przeciw Rosyi na własną ręka.

To znowuż książę Antoni Czartoryski nasyłał ustawiczne listy pod adresem księcia Józefa, aby tenże nic nie robił sobie z ustąpienia Austryaków i nie ruszał się z Krakowa, a spokojnie tam pozostał i oczekiwał dalszych wypadków.

Nie skończyła się jeszcze na tem próba rozbrojenia armii: stary przyjaciel Poniatowskiego, książę Antoni Radziwiłł, przysłał serdeczny list, prosząc go o prywatne widzenie się za miastem.

Nie przypuszczając, o co chodzi, a nie będąc w stanie wyjechać poza obóz polski, Poniatowski odpisał, zapraszając go do Krakowa.

Tymczasem Radziwiłł przyjechał nie z powodu osobistego interesu, lecz z misyą polityczną. Tu najpierw namawiał do porzucenia sprawy Napoleońskiej Zamoyskiego, wiceprezesa konfederacyi i ministra Mostowskiego, przekonywał ich niezbitymi, zda się, argumentami o przegraniu sprawy; udał się następnie do księcia Józefa, od którego jednak otrzymał stanowczą odmowę. Naraził się przytem na nieprzyjemne skutki, gdyż minister pełnomocny francuski, Bignon, dowiedziawszy się o czynnościach Radziwiłła, kazał go swym żandarmom aresztować i nie wiadomo, jakby się skończyło, gdyby nie szlachetny książę Józef, który całą winę przyjął na siebie i uwolnienie Radziwiłła uzyskał.

Tymczasem po całem Księstwie Warszawskiem biegają konni, jedni od stowarzyszenia patryotów, drudzy od książąt Czartoryskiego i Radziwiłła, inni zaś z obozu księcia Józefa, roznosząc proklamacye wzywające Polaków: pierwsze do natychmiastowego chwycenia za broń, przeciwko napływającym do kraju wojskom rosyjskim, drugie odciągając od wszelkiej zaczepnej akcyi; trzecie zaś, a pochodzące z obozu księcia Józefa, mówiły o werbunku ochotnika, dla powiększenia armi Napoleona.

Z powodu tego zamętu wybuchają różne niesnaski wśród obywatelstwa, pomiędzy którem przychodziło do pojedynków.

VI.

Przed dworzec w Starej zajeżdżają karety i pojazdy, z których co chwila wysiada szlachta, dążąc pod strzechę dobrze znanego nam już dziedzica, na sejmik. Przybyli więc: pan Kondaki z Dobiesławic, pan Drzewiecki z Kijan, pan Wenda z Gartatowic, sędziwy i poważny pan Chwalibóg, o którym tyle tylko wiemy, że pochodził z Kieleckiego i wielu innych w celu omówienia sprawy, kogo właściwie słuchać i czyje, krążące po kraju proklamacye, przyjąć pod uwagę.

Biegły w tłómaczeniu politycznych zagadek obywatel ze Starej, mając niegdyś jeszcze dość znaczny majątek w Kieleckiem, uchodził pomiędzy swymi sąsiadami za doradzcę w każdej ciężkiej sprawie, do niego też teraz przyjechali po radę.

Zaczęła się więc między zebranymi dysputa, która się ciągła do późna w nocy i skończyła się postanowieniem, że Kieleckie i Radomskie powiaty bezwarunkowo będą dążyły do zwerbowania ochotników i do odesłania części z nich księciu Józefowi, części zaś pozostawienia w kraju i złączenia jej z wojskiem, znajdującem się w fortecach Księstwa.

— Wszystko dobrze — rzekł sędziwy pan Chwalibóg, imając za rękojeść swej batorówki — a w którąż stronę my zwrócimy swe karabele, gdyż baczcie panowie, że w dniu, kiedy wojsko i pospolite ruszenie siłą oręża będzie dochodziło do bram wolności kraju, nas po dworach zamkną, niby żółwi w skorupach, więc czas i o tem pomyśleć, gdyż nieprzyjaciel na karku.

— Brawo! w sedno trafił — podchwycił Wenda, któremu oczy zaiskrzyły się na widok spoczywającej ręki Chwaliboga na głowni karabeli.

— Alež pozwólcie, moi panowie — odparł poważnie dziedzic ze Starej — nam wypada po skończonej pracy organizacyjnej zamknąć się w fortecy.

— Oczywista rzecz, w Zamościu — przerwał Chwalibóg — jako w twierdzy, w której jest komendantem dzielny Polak Hauke, nie zaś w Modlinie, gdzie dowodzi jakiś tam generał holenderski Döndell, jak już słyszeliśmy, obojętny sprawie polskiej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

„Któż, jak Bóg!"...

W dniu uroczystym patrona kraju naszego świętego Michała, odprawia się po kościołach solenne nabożeństwo. Nie dziwne to, bo święty Michał to wielki wódz wojska niebieskiego — Aniołów.

Gdy Najwyższemu i Wszechmocnemu Bogu za mało było cieszyć się i obfitować samemu szczęściem, jakiego jest pełen, postanowił wyprowadzić z nicości duchów, poniekąd Jemu podobnych. Na jedno Jego Wszechmocne Słowo — zjawia się przed Nim nieprzejrzany legion duchów czystych, pięknych, blaskiem niebiańskim jaśniejących, których nazwał Aniołami.

A jednemu z nich nie poskąpił Pan ani nieokreślonej piękności, ani blasku przenikliwego, ani władzy wielkiej. Ten zwał się Lucifer.

Ustanowił go Najwyższy hetmanem Wojska Swego, powiernikiem Swoim, chwałą Swoją największą. Lecz za mało było, jak się okaże, tych zaszczytów Luciferowi, bo stanąwszy dnia jednego przed miryadami duchów anielskich, przemówił:

— Jesteśmy wielcy, mamy szeroką władzę, mamy śliczną urodę, obfitujemy we wszystko, ale to dla nas za mało — my musimy być równi Stwórcy naszemu. Jesteśmy przecież dosyć silni, wypowiedzmy przeto walkę Bogu.

Słowa te podziałały silnie na pewną ilosć Aniołów, zgromadzili się prędko owi buntownicy koło Lucifera i postanowili, nieroztropni! walczyć z Bogiem.

W tem, z pozostałej przy Stwórcy rzeszy dobrych Aniołów wystąpił jeden, z słoneczną tarczą i mieczem ognistym, wołając;

— Któż! jak Bóg!

Po tych słowach podniósł miecz ognisty i powstała wielka bitwa na niebie, jakiej jeszcze nigdy nie było i nie będzie. I poraził strasznie Archanioł Michał buntowniczego Lucifera, spychając w straszliwe bezdno piekieł. Pokora zwyciężyła pychę. Miłość pokonała nienawiść. Harmonia Boża zniweczyła haos...

Tak zawsze bywa, bo:

— Któż, jak Bóg?!

— W przeciwnościach i krzywdach, jakiemi nas wróg zasyca, my jedno mamy słowo pociechy i nadziei:

— Któż, jak Bóg?

Choćby nas wrogowie do cna zniszczyli, choćby nam chcieli wiarę nawet odebrać, język nasz skasować, my zawsze wołajmy:

— Któż, jak Bóg!...

Słowa te zdołają przejąć i ubezwładnić najzaciętszych wrogów naszych. Słowa te wytrącą miecz z ręki największym barbarzyńcom. Słowa te zniweczą pokusy piekła, słowa te wypiszmy sobie w sumieniach i sercach. Słowa te wreszcie niech będą kiedyś naszem hasłem w walce o złotą wolność!...

Walenty Pasierb.

Polowanie na lwa.

Ognista kula słoneczna utonęła już w oceanie Atlantyckim, a cichy zmierzch wieczorny zapadał na piaszczystą pustynię libijską. Rozległą i żyzną oazę Dachel okrywał już zmrok, w którym majaczyły zdala gaje oliwne i palmowe. Rozżarzone piaski chłodły powoli, a cisza zapanowała nad oazą.

Z poza Nilu, od strony morza Czerwonego, wypłynęła tarcza księżyca, która, wznosząc się wolno na nieboskłon, przybierała równocześnie srebrzystozielonawą barwę.

U skraju lasku palmowego nad niewielką sadzawką oazy płonęło ognisko, a przy nim leżeli dwaj myśliwcy, paląc fajki i rozmawiając o upłynionych przygodach dnia. Okryci białymi burnusami czyli haikami, wyglądali na koczujących Beduinów, ale zaokrąglone rysy i owal twarzy znamionowały myśliwców europejskiego pochodzenia.

Naraz zerwali się myśliwi na równe nogi, gdyż posłyszeli głos, jakby oddalonego grzmotu. Po chwili rozległ się silniejszy grzmot, a brzmiał jakby dudnienie ciężko obładowanego wozu po nierównym, drewnianym moście. Strzelcy rozpoznali ten straszny głos i mieli wrażenie przez chwilę, że skóra odstaje im od czaszki, a po kolumnie pacierzowej pociąga ktoś soplem lodu. — To zbliżał się lew, król drapieżców, zwany przez Arabów assad-bejem, dusicielem trzód, panem z grubą głową i abu rad czyli ojcem grzmotu.

Dumny zwierz nie skradał się skrycie po zdobycz, jak to czyni tygrys w dżunglach Bengalu, lecz szedł całkiem otwarcie, oznajmiając rykiem, że jest głodny i że zabierze sobie ofiarę na pożywienic całkiem jawnie, nie troszcząc się o niczyje pozwolenie.

Strzelcy opanowali wzruszenie i drżenie serc i pochwycili za ciężkie swoje rusznice, odtylcówki dużego kalibru, oparte o pień palmy. Chwilę stanęli nieruchomo, gdy jednak straszny głos odezwał się w pobliżu, uklękli, opierając ciężkie strzelby na kolanach, i utkwiwszy wzrok w gęstwinie gaju. Naraz napełniło się powietrze ostrym odorem, jaki rozpoznaje się z menażeryi, a z pomiędzy drzew wyskoczył wspaniały król kotów i zatrzymał się kilkanaście kroków przed myśliwcami. Ujrzawszy ich, błyskawicznie zniżył przód ciała ku ziemi i wsparł pierś o trawę, a tylną część ciała trzymając podniesioną na zgiętych odnożach, gotował się do skoku. Oczy skrył powiekami, z pomiędzy których przez wąziutkie szparki przeciskało się zielone światło źrenic.

Nastał moment decydujący, śmierć wisiała w powietrzu, a strzelcy z zapartym oddechem, lecz z zimną krwią i z palcami na cynglach mierzyli w głowę zwierza.

Naraz źrenice drapieżcy zamigotały jak zielone kółeczka, a równocześnie huknął jeden strzał, a natychmiast po nim drugi. Lwem szarpnęło w tył dwa razy, lecz potężnym susem rzucił się w powietrze.

Myśliwcy błyskawicznie po strzale odskoczyli w bok, rzucili strzelby a wyciągnęli z pochew ostre noże, gotując się do śmiertelnej walki o życie. Lew, padając z rozmachem na ziemię, przewrócił się przez głowę, a tarzając się i rycząc przeraźliwie z wściekłości i bolu, szarpał potężnymi pazurami trawę dokoła.

Strzelcy, ujàwszy napowrót rusznice w ręce i przyczołgawszy się, jeszcze dwie kule wpakowali w głowę drapieżca, którego potężne członki drgnęły przedśmiertnie a wreszcie zesztywniały. Oba pierwsze strzały były celne i śmiertelne, gdyż kule, wszedłszy przez oczy, poszarpały mózg i położyły kres życiu króla zwierząt.

Teofil Tryczyński.

Ks. Piotr Skarga.

(W 300-letnią rocznicę śmierci).

W dniu 27 września b. r. mija 300 lat, jak zgasła gwiazda jasna na polskim horyzoncie; jak zamilknął na zawsze wielki myśliciel, kapłan-obywatel, kaznodzieja i polityk.

Tym obywatelem-kapłanem był Piotr Pawęski Skarga. Urodził się w Grojcu na Mazowszu w roku 1536. Po ukończeniu nauk w kraju i po krótkim pobycie w Wiedniu, był kaznodzieją katedry lwowskiej.

W pismach swoich, wielkiej wartości, o których wyraża się jeden z uczonych, »że gdyby nawet poprzedników jego zaginęły prace, w nim jednym pozostałyby piękności i wzory mowy ojczystej«, znajduje się takie bogactwo myśli i napomnień do narodu naszego, że gdyby myśli te znalazły były wówczas oddźwięk w naszych sercach, bylibyśmy uniknęli upadku.

W »Kazaniach sejmowych«, jako kaznodzieja królewski, przemawiał wiele razy do posłów polskich, zebranych na sejmach walnych i z całą ścisłością wytykał wady ówczesne, szkodliwe dla państwa; jak prywata, niezgoda, naruszenie religii katolickiej i herezye, prawa niesprawiedliwe i t. p.

Jak natchniony był duchem proroczym, wystarczy przytoczyć kilka zdań z jednego kazania, które się w zupełności sprawdziły:

»Rozdzieliło się serce ich, teraz poginą. I ta niezgoda przywiedzie na was niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą. Ziemie i księstwa wielkie, które się z koroną zjednały i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla waszej niazgody muszą. Język swój i naród swój pogubicie i ostatki tego narodu, tak starego i szeroko po świecie rozkwitnionego potracicie i w obcy się naród, który was nienawidzi obrócicie... Będziecie nietylko bez pana krwi swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej ważono, będą...«

Widział dokładnie zaczynającą się chorobę ówczesnej Polski; chorobę, która później rozwinęła się na dobre i zniszczyła organizm polski.

A trzeba nam wiedzieć, ze w tym czasie, kiedy żył Skarga, Polska była państwem silnem i potężnem; dzielne więc oko, które już wówczas dostrzegło zarazki, mające się rozwinąć później w chroniczną chorobę, która o zgubę kraj nasz przyprawiła. Słowa Jego były to echa odległych gromów, zapowiadające zbliżającą się burzę i dające znak, aby zawczasu ubezpieczyć się na wypadek nadciągających kataklizmów. Nie po jego stronie wina, że się do przestróg nie zastosowano.

Kazania sejmowe, to jeden z najpiękniejszych pomników literatury politycznej XVI wieku, jest to pomnik polityki katolickiej i narodowej.

Napisał nadto wiele innych dzieł nieocenionej wartości, jak: *Wzywanie do pokuty*, *O jedności Kościoła Bożego*, *Żywoty Świętych*, które w licznych wydaniach rozeszły się po całej Polsce, niosąc wszędzie ożywcze ciepło dla ducha.

A życie całe tego kapłana, było jednem pasmem pracy żmudnej, dla dobra bliźnich i Ojczyzny. Zakładał Bractwa, jak Bractwo Miłosierdzia, Bractwo Najświętszego Sakramentu, Bractwo im. Łazarza i wiele innych dobroczynnych instytucyj dla ulżenia ciężkiej doli biednych. Sam prowadził życie surowe, zakonne, chociaż jak kaznodzieja królewski mógł opływać we wszelkie dostatki. On jednak mieszkał w skromnej komórce, cichy i skromny; przed każdem kazaniem umartwiał ciało i biczował się, a w wolnych chwilach zajmował się pracą ręczną: toczył kałamarze, oprawiał książki, szył koszule i chustki, i odlewał świece woskowe. To też gdy zgasło to życie tak zacne, po całym kraju opłakiwano śmierć jego i dzisiaj w rocznicę śmierci należy się mu hołd od całej Polski, którą on całą duszą ukochał i całe życie dla jej dobra poświęcił.

»Jemu podobno — jak powiedział Dieduszycki — należy się pierwsze miejsce po owych Świętych naszych i błogosławionych, których w ołtarzach czcimy, a do których może nawet kiedy zaliczonym zostanie«.

J. Jarmuła.

Wyzwolenie...



Hej! już się zorza na wschodzie korali!
Pryskają nocy mogilniane cienie —
Dźwięki Zygmunta słychać już w oddali,
Przemoc upada, idzie wyzwolenie...

Idzie dzień trzeci w złocistej glory,
Miażdżąc swą stopą wrogie majestaty
Gromi tych Kainów, co do Syberyi
Spędzały polskie najcenniejsze kwiaty...

Gromi Judaszów i zdrajców ojczyzny,
Co dla niej doły mogilne kopali —
Co synów Polski rwali w łono schyzmy,
I tych, co braci na stryczkach wieszali...

O biada! biada wam, wy wieszatele!
Już lud się ocknął z grobowego cienia
I pójdzie sprawić wam krwawe wesele,
Wyrwać, co swoje, w imię Wyzwolenia.

On lud, co krwawo pracuje na roli
Z pługiem i bronią i sierpem na łanie,
On cię, ojczyzno, kochana wyzwoli
On ci przyspieszy twoje zmartwychwstanie.

On, jak w dym pójdzie po laury nowe,
Gdy tylko wspomni sobie Racławice...
Ujmie w swe dłonie potężne, gromowe
Kosy, co błyszczą, jako błyskawice...

Za którymi to posypią się gromy,
Te gromy zemsty na krwiożerczych wrogów,
Zbrojny potentat ich pójdzie w atomy
Przy chórze pieśni bojowych i rogów...

I zobaczycie pożary i zgliszcza —
Przeklęte jakieś upiorne i cienie
Potęgi waszej upadną bożyszcza...
Na nich swój sztandar zatknie Wyzwolenie!

Robert Rydz.

Targ na niewolników w Afryce.



W Afryce zwyczajną jest jeszcze rzeczą sprzedaż ludzi, czyli tak zwanego »czarnego towaru«, który przeważnie stanowią murzyni. — W niektórych miastach odbywa się targ regularnie w środy, czwartki i piątki. Wtedy to wychwalają handlarze mięśnie mężczyzn i piękność dziewcząt, a kupujący wyszukują w nieszczęsnym towarze wad, by kupić jak najtaniej. W mieście Fezie wywożą na targ nietylko murzynów ale też i niewolników Maurytańskich. Niech tylko jaki szczep zbuntuje się przeciw sułtanowi, wnet pokonany dostarcza targom niewolników. Oto po przejściu wojsk francuskich niektóre wsie zostały im wierne. Natychmiast kazał je sułtan Mulej Abdul Hafid zniszczyć. Obrazek nasz przedstawia sprzedaż schwytanej przy tej sposobności dziewczyny, maurytańskiej. Murzyński żołnierz, którego stała się zdobyczą, wychwala jej piękność zgromadzonym kupcom. Z postawy nieszczęśliwej, z jej spuszczonych oczu widać, co cierpi. Oto daleko został jej dom rodzinny, w którym szczęśliwie przebyła dzieciństwo i pierwszą młodość. Matka stara wypłakuje oczy za dziećmi swemi — syn poległ w obronie kobiet i starego, złożonego niemocą ojca, a ona, córka szlachetnej rodziny, pędzona jak zwierzę, stanie się niewolnicą, której nie wolno nawet zapłakać i poskarżyć się na swój los. Wolałaby śmierć wśród swoich nad tę okrutną, bezlitośną dolę.

Niedaleko od niej druga ofiara, tej los może jeszcze straszniejszy. Nie wie co stało się z jej mężem, który stawiał opór napastnikom, gdy ją oderwano od jej największego skarbu, ślicznego, ukochanego synka. To też twarz jej wyraża z wielką siłą nienawiść do swych prześladowców. — Gdyby nieszczęśliwa ta dziewczyna posiadała jakąkolwiej broń w swem ręku, z pewnością rzuciłaby się na tę zgraję nędzników, nie pytając co się z nią stanie. Misyonarze przeciwdziałają z wielką usilnością tym handlom.

Władysław Syrokomla.

W 50-letnią rocznicę zgonu.

Na ziemi kędy Niemen błękitne toczy fale ujrzał światło dzienne w r. 1822 syn gospodarski Ludwik Kondratowicz, późniejszy wieszcz nadniemeński, piszący też pod przybranem nazwiskiem Władysława Syrokomli.

Po ukończeniu nauk u Dominikanów wrócił na zagon ojcowski, pomagając rodzicom w ich ciężkiej pracy. I wtedy to zbliżył się do ludu, ukochał jego siermięgę i to była druga jego szkoła.

W zacisznem ustroniu wiejskiem począł w dwudziestym roku przekładać łacińskie utwory pisarzy polskich jak Jana Kochanowskiego, Szymonowicza, Klonowicza i innych. Z biegiem lat rozwinął olbrzymią twórczość, tak, że owoców pracy jego trudno się dziś doliczyć. Jedną z najbardziej lubianych jego form pisania było opowiadanie potoczne czyli gawęda oparta na pierwiastkach ludowych. Toż kiedy się je czyta, wieje z nich szczera polska a rzewna prostota, miłość i przywiązanie do ziemi Piastów, ukochanie ludu i wszędzie serce dobre, poczciwe.

Będąc już ojcem rodziny udał się do Wilna, jednak wkrótce powrócił stęskniony do wioski zwanej Borejkowszczyzną. Różne niepowodzenia i powszednie troski życiowe osłabiły jego umysł i nadwątliły zdrowie. W ostatnich czasach nawiązał stosunki ze sceną wileńską i począł pisać dla teatru. Wracając z Warszawy umarł w Borejkowszczyźnie 1862 roku.

Pisarz znakomity i bardzo płodny wzbogacił literaturę polską cennemi dziełami, jak gawędy p. t. »Stare wrota«, gdzie występuje piękna postać największego kaznodziei narodu ks. Skargi, »Urodzony Jan Dęboróg«, »Zgon Acerna«, najrzewniejszy utwór ze wszystkich poezyi Syrokomli, »Margier«, największy poemat historyczny z dziejów Litwy i t. d. Pisał też prozą, jak »Życie Ignacego Chodźki«. »Wędrówki po moich niegdyś okolicach«, »Pamiętniki Jakóba Sobieskiego o wojnie chocimskiej i inne.

Wierny syn ojczyzny, szczerze do niej przywiązany, bolał nad jej niedolą. W pewnym wierszu przeznaczonym dla jednego patryoty Sybiraka, grającego pięknie na gitarze powiada między innemi:

Znasz, sałdacie, pałek świsty,
Komandira szabli brzęk;
Zbierz-że w akord uroczysty
Wszystkich braci bitych jęk.

a dalej czytamy:

Potem zabłądź do Poznania
I wyśpiewaj kmiotka ból,
Kiedy Niemiec go wygania
Z pradziadowskich chat i pól.

Oto garść wspomnień o człowieku, który położył na polu piśmiennictwa wielkie usługi, a który niestety społeczeństwu słabo jest znany.

Józef Kobylański.

Pod rozwagę.

Smutny widok przedstawiają nasze wioski, a przynajmniej większa część tychże. Przejeżdżając przez niektóre, nie zobaczysz tylko wierzby, gdzieniegdzie olsza, brzoza, topola, a drzew owocowych tak mało; a jeżeli napotkasz, to takie biedne te drzewiny, jakby jakie schorzałe, skarlałe pokolenie. A jednak sprawa ogrodów warzywnych, sadów, to sprawa tak aktualna, że bez niej mowy być nie może o podniesieniu naszych ubogich wiosek.

Miejsca przestronne i widne koło domów, świecą przeważnie pustkami, po których tu i ówdzie wałęsają się brudne dzieciska. Mówiłem z niejednym gospodarzem, że gdyby tak miejsce takie zasadzić drzewami owocowemi, to i korzyść byłaby z tego materyalna i widok byłby koło domu przyjemniejszy, ale często spotkałem się z odpowiedzią:

— Ej! Panie! A ktoby ta z tego co doczekał.

I tak schodzą lata, brak ochoty w tym kierunku i sprawa tak ważna dla podniesienia się ekonomicznego leży odłogiem. Dość wspomnieć kraje sąsiednie, ile to zbierają rocznie grosza za owoce i przetwory owocowe, a u nas masę pieniędzy wydajemy za te produkta, sprowadzane w wielkiej ilości z innych krajów. A przecież grosz ten mógłby pozostać w kraju, gdybyśmy się tylko pozbyli tej gnusności, tego lenistwa, które jest naszą wadą.

Ta wada powszechna u naszych kmiotków: — »niech będzie, jak dawniej bywało« — jest złem, które koniecznie zwalczać i wykorzeniać należy.

Dawniej były inne warunki, a dzisiaj czasy się zmieniły. Człowiek musi się stosować do postępu musi się dostrajać do stosunków, jeżeli chce wyjść z walki o byt zwycięzko. W dzisiejszych czasach grunta kurczą się niejako, a ludności przybywa, więc bezwarunkowo każdy gospodarz musi się zastanowić nad sposobami gospodarki i dojść do przekonania, że tak dalej być nie może: że gospodarka musi być racyonalniejszą, praca intenzywniejszą, aby korzyści dorównały warunkom obecnym.

Sady przy chatach włościańskich są rzeczą niezbędną, albowiem przyczynią się do podniesienia materyalnego i moralnego.

Weźmy naprzykład jedno gospodarstwo za wzór. Domek skromny, jak i inne, ale czysty, schludny; koło domku bodaj niewielki ogródek, należycie ogrodzony, a w nim kilka grządek na jarzyny, kilkanaście drzew owocowych należycie utrzymywanych, co znów nie kosztuje wiele, tylko trochę starania i pracy; grządeczka z kwiatami, ot, jak miły dla gospodarza i właściciela widok dla oka, co działa przyjemnie także na każdego przechodnia i czyni miłe wrażenie. Jak miło takiemu gospodarzowi spocząć w ogródku takim pod drzewami uginającemi się pod ciężarem rumianych owoców, a przeciwnie jeżeli spocznie pod wierzbą, to co chwila kapią na niego gąsienice; człowiek, nie mający ozdoby koło domu, czuje się wiecznie niezadowolonym, a sam na wet nie wie czemu, bo sprawy sobie z tego nie zdaje. Szuka więc zaspokojenia i zazwyczaj idzie do karczmy, i tam chwilowo oszołomiony wódką, znajduje ukojenie, ale nie na długo, bo później to uczucie niezadowolenia potęguje się i popycha go mimowoli do pijaństwa. Nic w tem dziwnego; w domu niechlujstwo, śmiecie, a w karczmie przecież i podłoga zamieciona i ściany wybielone.

Gdyby tak cała wioska składała się z takich chat miłych, jak ta wyżej wspomniana, wtedy wioska przedstawiałaby się bardzo mile, umysł kmiotków byłby pogodniejszy, ochota raźniejsza do pracy. Wówczas gospodarz i do karczmy nie zaglądałby, bo w domu byłoby mu przyjemnie i błogo. Byłyby owoce nietylko na własny użytek, ale i na sprzedaż, więc i grosz łatwiej znalazłby się na niezbędne potrzeby. Nastąpiłoby poszanowanie cudzej własności, bo nikt nie pragnąłby cudzych jabłek lub gruszek, a dzisiaj niechaj u jednego znajdzie się sadek z owocami, to i upilnować trudno, bo amatorów jest wiele na cudzą pracę, a to także nieszlachetna wada, która tylko u nas istnieje, a której także koniec położyć należy.

Powinniśmy więc otrząsnąć się z tej gnusności i pracować wytrwale, aby nietylko nasze chaty w przyszłości otoczone były sadami, lecz i na drogach polnych niech pojawią się drzewa, a wtedy i dobrobyt zawita do naszej wioski.

Mej stokrotce.

Wśród wiejskiej cichej niwy,
wyrosłaś mi dziewczyno! —
wiek twój młody, szczęśliwy
przeleciał ci jedyno
na łanach czarnych ról!...

Wyrosłaś, jak u wody
chyląca się kalina,
z licami jak jagody,
jak palma dzięcielina,
co ją muskał wiatr z łąk i pól.

Jak na kwietniowej runi
z pierwszą wiosną stokrótka,
jak modra niezabudka,
kwitłaś w cichej ustroni
wśród łąk zieleni i łanów zbóż.

Jak lilia w wód topieli,
czysta, śniegowo-lica
niby anioł-dziewica,
bez winy jak anieli
z za łuku tęczy i złotych zórz!

I nie blask twej urody,
ani ocząt błękity,
albo ja wiek twój mlody,
że nieledwie spowity
pieściłem w myślach, marzeniach, snach:

Po twoich ocząt łagodnych skrach
biegł duch mój, twą duszę przenikał,
tę czystą, gołębią,
co nad świata brudów głębią
bujała — a brud w nią nie wnikał —
nie wlał w nią grzechu jadu...

Zostałaś niby kłos pszenicy
nietknięty siłą gradu,
czysta jak łza, co plynie z dziecięcej źrenicy.

Jan Świątek.

Przyjaciele.

W jednej pracowali fabryce, w jednej mieszkali izbie, bo byli przyjaciółmi takimi, że jeden bez drugiego na krok się nie ruszył. Łączyła ich przyjaźń serdeczna jeszcze z kraju rodzinnego, z wioski, w której obydwa światło dzienne w jednym tygodniu ujrzeli.

Lata dziecięce przepędzili, Wojciech z Józefem, na tem samem pastwisku, gdzie codziennie pędzili rodzicielskie bydełko. Przez zimę chodzili do miejscowej szkółki, w której przyjaźń ich jeszcze wzrastała. I tu nie rozdzielali się, ale z jednej ławy słuchali słów swego nauczyciela.

Po ukończeniu szkółki, o ile się dało, Wojtuś pomagał w pracy Józefowi a Józef Wojtusiowi. Życie ułożyło się im tak dobrze, że obywa w jednym roku zostali wzięci do wojska i obydwaj przez całe trzy lata przy jednej przesłużyli kompanii.



Po powrocie do domów Wojciech pojął za żonę ładną Marysię siostrę Józefa, zaś Józef poślubił swoją imienniczkę ładną Józię, siostrę Wojciecha.

I tak z latami dziecięca przyjaźń rosła i wzmagała się, a jeno niedostatek przyciemniał jasne chwile przyjaciół.

Jakoś wkrótce po ślubach dwóch przyjaciół zdarzyło się, iż sąsiedzi poczęli przysyłać z Ameryki znaczne sumy pieniędzy.

Pewnego wieczora przyszedł Wojciech do Józefa i powiada:

— Wiesz co szwagierku, ciężkie czasy na nas!

— Oj ciężkie! — potakuje Józef.

— Trzebaby coś na to zaradzić! — mówi dalej Wojciech.

— Ta, trzebaby — powiada Józef — ale jak?

— O tem ja właśnie myślę...

— No i jakże wymyśliłeś co?

— Możem i wymyślił...

— Ale co?

— A jakbyśmy tak pojechali do Ameryki? Jadą inni, starsi, i tam zarabiają spore pieniądze. Możebyśmy i my tak spróbowali?!

— To spróbujmy!

I spróbowali!

Płakały żony, płakali rodzice starzy, ale nikt nie wzbraniał im wyjazdu, gdyż wszyscy wiedzieli, że, pojechawszy, los swój i swych rodzin poprawić mogą.

Pożegnali więc najbliższych swoich i ruszyli w świat daleki, na obcą ziemię, pomiędzy obcych ludzi. Pożegnali najbliższych i pojechali do Ameryki pracować na zamorskich milionerów, aby przy tem sobie i swoim najbliższym dolę polepszyć.

Wojciech i Józef byli młodzi i zdrowi a przeto silni, więc wkrótce znaleźli dobrą pracę w Ameryce. Nie minął rok a już po kilka stówek posłali do domów na dokupno bydełka, na poprawę chat i na obsiewy. A i sami nie byli bez grosza, więc szczęście poczęło się im uśmiechać w całej pełni.

Powiadają, że pieniądz przyciąga ludzi.

I rzeczywiście tak jest. Pieniądz przyciąga ludzi, tworzy pozornych przyjaciół, którzy schlebiają nam na każdym kroku i wytwarzają wokoło nas jakąś nieszczerą atmosferę.

Gdy towarzysze pracy poczuli pieniądze u Wojciecha i Józefa, poczęli im nadskakiwać, udawać przyjaźń, a co za tem idzie zaciągać do szynku, to na szklankę piwa, to na kieliszek wódki, lub lampkę wina.

Dwaj przyjaciele początkowo wzbraniali się przed napojami, gdyż ich od małego dziecka nie używali, ale powoli poczęli się przyzwyczajać: najprzód jeden kieliszek, potem dwa, trzy, cztery i t. d. W niespełna pół roku potrafili innym placu dotrzymać a niejednego w pijatyce nawet prześcignąć.

Kto oddaje się pijaństwu, nie może myśleć o pracy. Więc też i dwaj przyjaciele poczęli się spóźniać do roboty, zadanie swe wykonywali niesumiennie, byle jeno zbyć a przez to ściągali na siebie niechęć swych przełożonych, aż wreszcie stracili dotychczasowe dobre zajęcie.

Po długich szukaniach znaleźli inne, mniej płatne, ale i tego wskutek ciągłych upijań się długo nie mieli.

A gdy je stracili, bieda poczęła na dobre dobierać się do nich.

Pewnego wieczora, gdy po przepiciu ostatniego grosza wrócili do domu, zastali list z kraju adresowany do Wojciecha, w którym żona jego prosiła, aby ten wraz z Józefem wracał do kraju, gdyż doniesiono jej, jakie życie w Ameryce prowadzi.

— Skaranie Boskie z babami — krzyknął pijany Wojciech — szelmy są i koniec.

— Ty mi siostry szelmą nie przezywaj — wrzasnął Józef — bo choć mi szwagrem jesteś — łeb ci rozwalę.

— Co, ty mnie, pijaku! — zawołał Wojciech i zerwał się na równe nogi.

Przypadł do niego Józef i dwaj przyjaciele zwarli się w zapaśniczym uścisku. Ciała ich skłębiły się i padły ciężko na ziemię, skąd było słychać tylko ciche harczenie i stukot nóg uderzających o podłogę.

Nagle Wojciech, choć nieco słabszy, wyrwał się z objęć niedawnego przyjaciela i stanął przy oknie, aby odpocząć i tchu nabrać do nowego ataku. Skorzystał z tej chwili silniejszy Józef, podbiegł ku niemu i pchnął go obydwoma rękami w otwarte okno.

Nieszczęśliwy Wojciech, spadając z wysokości drugiego piętra na bruk uliczny, roztrzaskał sobie głowę.

Tak się skończyła owa przyjaźń: Wojciech poszedł na straszny sąd Boży, Józef do kryminału.

Antoni Socha.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ XXI.

Zwiedzenie półwyspu. — W okolicy zagrody. — Spilett i Penkroff na zwiadach. — Powrót. — Wszyscy naprzód. — Drzwi otwarte. Przy świetle księżyca.

Następny dzień był przeznaczony wyłącznie na zwiedzenie lesistej części wybrzeża, od przylądka Gadu do rzeki Spadek. Zbadali dokładnie tę część lasu, którego szerokość wynosiła zaledwie cztery mile. Wysokość drzew i bujne rozgałęzienia dowodziły żyzności gruntu.

— Nie dziwi mnie to bynajmniej — rzekł Cyrus Smith. — Zbrodniarze dostali się na ląd przy cyplu Skrzyni i przez bagno Dzikich Kaczek przeszli do lasu Dalekiego Zachodu, a więc przebiegli prawie też samą drogę, co my obecnie, lecz doszedłszy do wybrzeża, miarkowali, że tu ukryćby się nie zdołali, cofnęli stę więc ku północy i wówczas spostrzegli owczarnię.

— Do której może i teraz wrócili — przerwał Penkroff.

— Nie sądzę — rzekł inżynier — gdyż domyślają się zapewne, że ich tam szukać będziemy. W owczarni zaopatrują się w żywność, a w innem miejscu obrali sobie schronisko.

— Podzielam zdanie Cyrusa — powiedział reporter. — O ile mi się zdaje, zbrodniarze muszą ukrywać się między wzgórzami podnóża góry Franklina.

— W takim razie, panie Cyrusie, spieszmy do owczarni! — zawołał marynarz. — Już i tak straciliśmy dużo czasu naprożno.

— Zapominasz, przyjacielu — odpowiedział inżynier — że mieliśmy przekonać się również, czy w lesie nie znajduje się mieszkanie naszego dobroczyńcy.

— Tak, panie Cyrusie — rzekł Penkroff — lecz zdaje mi się, że nie znajdziemy tego zacnego pana, dopóki on na to nie zezwoli.

Penkroff wyrażał tu ogólne mniemanie. Prawdopodobnie schronienie nieznajomego musiało być równie, jak on tajemnicze!

Zatrzymali się na noc przy rzece Spadek. Harbert, pokrzepiony powietrzem morskiem i wonnymi wyziewami lasów, był równie zdrów i silny jak przed chorobą. Nazajutrz, 19 lutego, puścili się lewym brzegiem rzeki. Droga była już po części utorowana w ciągu ich poprzednich wycieczek z owczarni do zachodniego wybrzeża, a sześć mil tylko dzieliło ich od góry Franklina.

Inżynier miał zamiar zbliżyć się ostrożnie do owczarni, i jeżeli była zajętą, zdobyć ją, jeżeli zaś nie, zamknąć się w niej i czynić wycieczki między wzgórza, otaczające górę Franklina, w celu wyszukania zbrodniarzy. Zapuścili się w wąską dolinkę między dwoma pasmami gór. Drzewa, zarastające gęsto brzegi rzeki, były coraz rzadsze w miarę, jak się pięły w górę; ale wśród wąwozów łatwo było urządzić zasadzkę, dlatego też koloniści posuwali się z największą ostrożnością. Top i Jow biegli naprzód, zbaczając to na prawo, to na lewo, jakby rozumieli, że mają czuwać nad bezpieczeństwem swych panów. Około piątej wieczorem wóz zatrzymał się o sześćset mniej więcej kroków od palisady, otaczającej dziedziniec koło owczarni, którą jeszcze ukrywał przed ich wzrokiem lasek.

Trzeba było przekonać się, czy zbrodniarze zajęli powtórnie owczarnię, ale podsunąć do niej otwarcie, w biały dzień, było to samo, co narażać się na strzały zdradzieckie; lepiej więc było czekać cierpliwie nocy.



Broncie się! broncie!

— Nie, moi przyjaciele — rzekł Cyrus do Spiletta i Penkroffa, którzy chcieli natychmiast pójść na zwiady — nie pozwolę wam się narażać. Czekajmy nocy...

— Ależ, panie Cyrusie.. — rzekł, nalegając marynarz.

— Proszę cię, Penkroffie — powiedział inżynier.

— Ha! niechże będzie, jak pan chcesz — odrzekł Penkroff. Ale chcąc ulżyć sercu, zaczął wymyślać na zbrodniarzy, wygrażając im pięścia.

Czekali trzy godziny, zwracając baczną uwagę na las sąsiedni. Powietrze tak było spokojne, że łatwo możnaby dosłyszeć najlżejszy nawet szelest; nic jednak nie przerwało ciszy. O godzinie ósmej wieczorem ściemniło się już o tyle, że łatwiej było podsunąć się pod owczarnię, to też inżynier nie opierał się bynajmniej, gdy Spilett i Penkroff oświadczyli, że pójdą na zwiady! Top i Jow zostali przy wozie, gdyż obawiano się, aby szczekaniem lub krzykiem nie obudzili czujności zbójców.

— Tylko nie narażajcie się zbytecznie — rzekł inżynier — i pamiętajcie, że nie idzie o to, abyście odebrali owczarnię, lecz aby się przekonać, czy jest zajęta lub nie.

Odeszli. Pomiędzy drzewami było już tak ciemno, że o trzydzieści kroków nic dojrzeć nie było można. Reporter i marynarz posuwali się naprzód bardzo ostrożnie, zatrzymując się, skoro najlżejszy szmer doszedł do ich uszu. Szli każdy z osobna, aby trudniej było wziąć ich na cel, gdyby zbrodniarze urządzili zasadzkę. Po kilku minutach stanęli już na skraju lasu, nad łączką, na której wznosiła się owczarnia.

Zatrzymali się. Na ogołoconej z drzew przestrzeni było jeszcze dość widno. Musieli przejść trzydzieści kroków, aby stanąć przy bramie, prowadzącej na dziedziniec, ale te trzydzieści kroków w miejscu zupełnie odkrytem, były najtrudniejsze do przebycia, z poza palisady bowiem można było strzelać na pewno.

Reporter i marynarz byli odważni, ale widzieli, że najlżejsza z ich strony nierozwaga może być zgubna nietylko dla nich, lecz i dla pozostałych towarzyszy. Jeżeli oni polegną, cóż się stanie z Cyrusem. Nabem i Harbertem? Wprawdzie niecierpliwy Penkroff, widząc przed sobą owczarnię, chciał natychmiast pośpieszyć, ale Spilett zatrzymał go za rękę.

— Za kilka minut — rzekł — będzie już zupełnie ciemno, wtenczas podsuniemy się tam bezpiecznie.

Penkroff ścisnął gwałtownie rękami karabin i zatrzymał się, złorzecząc rozbójnikom. Wkrótce zmierzch ustąpił miejsca nocy. Marynarz i reporter, stojąc na skraju lasu, zwracali pilną uwagę na palisadę, której wierzchołek tworzył trochę ciemniejszą i zupełnie równą linię na horyzoncie. Jeżeli rozbójnicy znajdowali się w owczarni, musieli postawić jednego ze swoich na straży, a w takim razie przynajmniej głowa jego wznosiłaby się nad palisadą. Czyżby nie było nikogo?

Spilett ścisnął za rękę towarzysza, i obadwaj pochyliwszy się, zaczęli ostrożnie zbliżać się do palisady. Stanęli przy bramie. Penkroff spróbował ją otworzyć, widząc, że zewnętrzne zasuwy nie założone, ale była wewnątrz zamknięta. Z tego trzeba było wnosić, że rozbójnicy zajęli domek Ayrtona i zaparli bramę.

Gedeon i Penkroff zaczęli przysłuchiwać się pilnie. Najlżejszy szmer nie doszedł ich uszu; nawet muflony i kozy, już śpiące zapewne, nie przerywały swem beczeniem ciszy nocnej.

Reporter i marynarz zadali sobie pytanie, czyby nie mogli dostać się na dziedziniec, przez palisadę, ale reporter zauważył, że zamiar mógłby im się nie udać, a w takim razie ostrzegliby złoczyńców o grożącem niebezpieczeństwie. Lepiej będzie, jeżeli wszyscy razem wejdą do owczarni. Penkroff podzielał widać to zdanie, gdyż bez najmniejszego oporu powrócił z Gedeonem do lasu. W kwadrans później uwiadomili już inżyniera, że można dojść aż do ogrodzenia, że brama zamknięta z wewnątrz, ale nikt nie stoi na straży.

— W takim razie — rzekł po namyśle — trzebaby wnosić, że zbrodniarzy niema tam obecnie.

— Przekonamy się o tem — odpowiedział Penkroff — skoro wejdziemy do owczarni.

— Chodźmy więc, towarzysze — rzekł Cyrus.

— Czy wóz pozostawimy w lesie? — zapytał Nab.

— Nie, jest to furgon z żywnością i amunicyą, który, w razie potrzeby, może nam posłużyć za szaniec.

— Ruszajmy! — rzekł Gedeon.

Wóz przebył szczęśliwie las i zaczął toczyć się po łące; gęsta i bujna trawa tłumiła turkot kół i odgłos kroków. Jow, z rozkazu Penkroffa, szedł za wozem; Topa prowadził na smyczy Nab, aby się naprzód nie wyrywał. Wkrótce doszli do palisady i wóz tam się zatrzymał. Ani jeden wystrzał nie przerwał głębokiej ciszy. Nab pozostał przy onagach, inni udali się do bramy, aby spróbować, czy jej wysadzić nie potrafią...

Jedna jej połowa była całkiem otwarta!

— Wszak mówiliście, że zamknięta? — rzekł inżynier, zwracając się do Gedeona i marynarza prawie osłupiałych ze zdumienia.

— Przysięgam na moją duszę! — zawołał Penkroff — że przed chwilą była szczelnie zamknięta.

Spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Zdawało im się to niewątpliwem, że rozbójnicy byli jeszcze w owczarni; bo któż inny mógłby je nastepnie otworzyć? Ale czy obecnie wszyscy z niej wyszli, czy tylko jeden z nich oddalił się — na to pytanie trudno byłoby odpowiedzieć.

Harbert, który posunął się już o parę kroków za ogrodzenie, cofnął się nagle, chwytając Cyrusa za rękę.

— Co zobaczyłeś? — zapytał inżynier.

— Światło!

— W domku?

— Tak.

Wszyscy przeszli bramę i rzeczywiście ujrzeli słabe światełko w oknie.

— Naprzód! — zawołał Cyrus przytłumionym głosem — zbrodniarze sa tam wszyscy razem i teraz już nie zdołają umknąć!

Gdy zatrzymali się przed zamkniętemi drzwiami domku, Cyrus skinął, aby pozostali na miejscu, sam zbliżył się do okna. Na stole przy łóżku Ayrtona paliła się mała lampka; na łóżku leżał jakiś człowiek.

Cyrus cofnął się nagle i zawołał drżącym głosem:

— Ayrton!

Otworzyli drzwi i wpadli do izby. Ayrton spał; na twarzy jego widać było, że przebył długie i straszne cierpienia, na rękach i nogach były krwawe ślady po zdjętych niedawno więzach.

— Ayrtonie! — zawołał Cyrus, pochylając się nad nim i ściskając za rękę tak niespodziewanie odnalezionego towarzysza.

Ayrton otworzył oczy i przez czas jakiś spoglądał na Cyrusa i na innych, jakby nie dowierzał, że widzi ich rzeczywiście. Potem zerwał się na nogi.

— Wy tutaj! — zawołał nakoniec — wy przy mnie!...

— Ayrtonie! Ayrtonie! — powtórzył Cyrus Smith.

— Gdzie ja jestem?

— W domku przy owczarni.

— Sam jeden?

— Tak!

— Ale oni wrócą! — zawołał Ayrton- — Brońcie się! brońcie!

Po tych słowach upadł bezsilny na łóżku i usnął.

— Gedeonie — rzekł inżynier — możemy lada chwila spodziewać się napaści. Wprowadźcie wóz na dziedziniec i starannie zamknijcie bramę.

Penkroff, Nab i reporter natychmiast spełnili polecenie inżyniera. Nie było chwili do stracenia. Kto wie nawet, czy już wóz nie dostał się w ręce zbrodniarzy. Zbliżyli się prędko do bramy, za którą Top warczał ciągle głucho. Inżynier i Harbert wyszli przed dom, gotowi, w razie potrzeby, biedz na pomoc towarzyszom.

Księżyc tymczasem wysunął się z poza lasu, światło jego dozwalało widzieć dokładnie kępy drzew, piękną murawę i strumień, płynący w ogrodzonym palisadą obrębie.

Wkrótce też wóz wtłoczył się i Cyrus usłyszał, że towarzysze zamknęli bramę, Top zaczął szczekać gwałtownie, zerwał smycz i pobiegł w głąb dziedzińca po prawej stronie domku.

— Baczność towarzysze! Miejcie broń na pogotowiu!... — zawołał Cyrus.

Koloniści spełnili polecenie inżyniera. Top wciąż szczekał zawzięcie, a Jow towarzyszył mu ostrem, przenikliwem świstaniem. Koloniści poszli za nimi aż do brzegu strumienia. Cóż tam znaleźli?

Pięć trupów, leżących nad brzegiem. — Były to ciała pięciu zbrodniarzy, którzy cztery miesiące temu wylądowali na wyspę Linkolna!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Gawędy Wawrzka Obywały z Markiem Zakałą.

Wawrzek: — Ach, co to za durni jeszcze żyją ludzie w tej naszej Galicyi, sąsiedzie Zakało! Nie dość, że im życie idzie, jak po grudzie, to jeszcze po sądach włóczą się niemało... Byłem kiedyś w mieście z podatkiem domowym. Nie chcący przetarłem się i koło sądu. Tam ludu, jakoby w miejscu odpustowem, a kłótni a swarów wszelkiego nierządu...

Marek: — At, coby robili ludziska zażarci; o lada głupotę wloką się milami. Przed sądem się jeszcze kłócą niczem czarci, niekiedy się nawet darzą kułakami...

Wawrzek: — Słuchajcie: No, byłem ja trochu ciekawy, o co też tak ludzie się procesowali, aże załatwiłem wszystkie swoje sprawy — wszedłem się przysłuchać do sądowej sali. Sędzia »felezuje;«

— Aniela Szczerbata i Agata Smoroń, cóż wy tam znów macie?...

Tu wyszła do frontu babina garbata i zaczyna:

— O mój święty majestacie, ta jucha Szczerbata mnie straśnie przezwała, żeby nawet janioł rozgniewał się o to:

— Gadajcie, jak ona was zamianowała!?

— O jaki też sędzia dobreńki jak złoto, może ta i wygrom...

— To jak was nazwała?

— A dyć czarownicą i małpą kosmatą i byłaby więcej jeszcze pyskowała, alem ją przegrzała bez plecy, łopatą.

— Toście sprawiedliwość sobie wymierzyli — dobrucha ją sędzia — więc cóż jeszcze chcecie?

— Toby my tak duchem te sprawy skończyli? Ja jej nie daruję przenigdy na świecie.

— Anielo Szczerbata, przezwałaś Agatę?

— Ja jo ta naprawdę dyć nie przezywała, ale, psiamać czuję jeszcze tę łopatę, którą mię Smorońka tak zamalowała.

— A więc się przeprosicie i sprawa skończona — rzecze dobrodusznie sędzia, do powódek; A na to Szczerbata, jakoby szalona:

— Ja ją wyprowadzę na dziadków ogródek za ową łopatę, co ją w krzyżach czuję.

Tu sędzia zadzwonił, aby cicho było...

— Jak mój chłop ją kiedy kołem zamaluje — będzie się jej długo to po nocach śniło...

Sędzia znowu dzwoni... wreszcie się odzywa:

— Ach, ludu, mój ludu, przejrzyj zraz na oczy! O lada drobnostkę jedno drugie wzywa... i traci grosz krwawy, choć je bieda tłoczy.

Marek: To nic nie wygrały te babska zacięte?

Wawrzek: — Choć ta nie wygrały, to se tak myślały: Niech ta licho weźnie procesa przeklęte, gdyśmy jedna drugiej nie »wyrychtowały«.

Marek: — No już w naszej wiosce proceśników mało: Jakoś se chłopiska już pouważali, że to na kieszeni dobrze ich iskało, jakoś ta już trochu sądu zaniechali.

Wawrzek: — Co to warta, kumie, teraz, niech Bóg broni procesa zaczynać, płacić adwokata, bo jak go nie macie — sędzia was wygoni, choćbyście mieli świadków i z »tamtego świata«.

Marek: — Najlepsza jest zgoda, ta nic nie kosztuje, a krwawe »grejcary« zaszparuje.

Bartek z pod lasu.

Z TYGODNIA.

Sejmowa reforma wyborcza. Przez cały ubiegły tydzień odbywały się rokowania o sejmową reformę wyborczą pomiędzy przewódcami stronnictw polskich, W ubiegłą sobotę narady zostały przerwane, gdyż wielu z posłów musiało wyjechać do Wiednia na obrady delegacyjne. Rokowania rozpoczynają się ponownie w piątek 27 b. m., do porozumienia jednak daleko, gdyż przewódcy stronnictw nie mogą się ze sobą pogodzić.

Na nowe szkoły. Z ministerstwa wyznań i oświaty nadeszło obecnie zawiadomienie, iż cesarz postanowieniem z dnia 27 sierpnia b. r. zatwierdził uchwałę, którą sejm upoważnił Wydział krajowy do zaciągnięcia pożyczki aż do wysokości dziesięciu milionów koron na bezzwrotne zasiłki dla funduszów szkolnych miejscowych na budowę szkół, oraz do zaciągnięcia pożyczki aż do wysokości pięciu milionów koron na utworzenie funduszu pożyczkowego na budowę szkół ludowych w miastach. Wskutek tego będą mogły obecnie gminy w szybszem tempie bubudować szkoły, należy tylko sprawy pilnować, zanim się fundusze wyczerpią.

Nowi ministrowie. Najjaśniejszy Pan zamianował dwóch nowych ministrów, a mianowicie ministrem handlu Schustera, zaś ministrem rolnictwa Zenkera.

Delegacye. W poniedziałek 28 b. m. zebrały się w Wiedniu delegacye austryackie i węgierskie, które mają powziąść uchwały, tyczące się obu połów monarchii. Obrady w delegacyach węgierskich zapowiadają się burzliwie, gdyż chcą je uniemożliwić opozycyjni węgierscy posłowie.

Ze względu na niebezpieczeństwo wojny, jakie wisi nad półwyspem bałkańskim, wszyscy z niecierpliwością wyczekują wygłoszenia expose ministra spraw zagranicznych hr. Berchtolda, z którego można będzie dowiedzieć się, czy wojna jest nieuniknioną, czy też w myśl życzeń austryackich da się owo naprężenie załagodzić. Na wywody austryackiego ministra czeka cały świat z ciekawością.

Awantury w sejmie. W sejmie węgierskim, zwołanym celem wyborów do delegacyi, a otwartym 17-go września b. r., odbywały się przez wszystkie posiedzenia niebywałe awantury. — Zaledwie zjawił się na posiedzeniu marszałek Tisza, gdy opozycya powitała go ogłuszającym hałasem i niesłychanemi obelgami. Krzyczano: »Precz z tym drabem policyjnym!« Odezwały się trąbki, piszczałki, grzechotki i trzaskanie pulpitami. Ten straszliwy koncert trwał prawie godzinę. Marszałek z trudnością odczytał pismo monarsze, otwierające parlament. Opozycya rzuciła się ku trybunie i nie pozwoliła stenografom spisywać protokołu. Jeden z posłów opozycyjnych ugryzł przytem w rękę posła Esterhazego i równocześnie dobył rewolweru, inni z zaciśniętemi pięściami przyskoczyli do posłów partyi rządowej. Krótko przed godz. 12 marszałek musiał zawiesić posiedzenie na 10 minut. Podczas następnego odczytania orędzia monarszego, zwołującego delegacye, powtórzyły się hałasy i burdy. Posłowie wygrażali się pięściami, a prezesa ministrów Lukacsa i marszałka hr. Tiszę wyzywali od błaznów, łotrów i fałszywych psów. Marszałek Tisza i rząd o ile możności chcieli uniknąć korzystania z pomocy policyi, celem usunięcia z sali posiedzeń hałasujących posłów opozycyi. Ponieważ jednak posłowie uspokoić się nie chcieli, zawołał marszałek na policyę, która o godzinie wpół do 5, w sile około 180 ludzi z inspektorem Pawlikiem, na czele obsadziła salę.

Mimo największych wysiłków policyi nie udało się wykonać polecenia i wyprowadzić z sali posłów opozycyjnych, którzy na środku sali utworzyli jakoby żywy łańcuch i z miejsca się nie ruszyli. Gdy inspektor policyi, Pawlik, ujął hr. Mikołaja Karoli'ego za ramię, aby go wyprowadzić, tenże pięściami zaczął w twarz uderzać inspektora, który musiał wreszcie ustąpić. Gdy chciano wyprowadzić hr. Juliusza Apponyi'ego, zaczęła opozycya krzyczeć: »Kto ruszy Apponyi'ego, zdechnie na miejscu!« W tym czasie zaszedł znamienny wypadek. Jeden z urzędników policyjnych, który otrzymał rozkaz wyprowadzenia jednego z posłów, wzbraniał się wypełnić ten rozkaz. Aresztowano go natychmiast i odprowadzono wśród burzliwych owacyj posłów opozycyi na cześć — jak powiadali — dzielnego policyanta. Aż do wpół do 8 wieczór trwały te burzliwe sceny i policyi nie udało się z sali usunąć hałasujących posłów opozycyi. W tym czasie hr. Tisza kazał przywołać dalszych 400 policyantów, aby wreszcie salę posiedzeń opróżnić. Ze wszystkich stron wdarli się do sali, w której teraz było już blisko 600 policyantów, i w zbitej masie natarli na posłów opozycyi, aby ich wyprzeć z sali. W ścisku wielu posłów straciło przytomność. Wreszcie około 9 wieczór posłowie opozycyi, wydaleni zostali z sali i rozpoczęły się w spokoju właściwe rozprawy. W kilku minutach załatwiono się z różnemi ustawami, pomiędzy innemi uchwalono budżet tymczasowy na rok 1913, poczem marszałek o godz. 10 zamknął posiedzenie.

Pies policyjny towarzyszem podróży. Srogi i znienawidzony komisarz królewski pozbawionej konstytucyi Chorwacyi, baron Cuvaj, podróżuje obecnie po Alpach i po Węgrzech pod silną strażą policyjną. Otoczony jest detektywami, jak sam car, ponad to zaś w jego orszaku znajduje się pies policyjny. Jest to pierwszy pies, przydany do towarzystwa w podróży osobie urzędowej.

Wieści wojenne. Według wiadomości z Bułgaryi, ludność tamtejsza żąda jednogłośnie wojny z Turcyą, w celu uwolnienia Macedonii. Mówią, że rząd nie oprze się żądaniu ludu dłuższy czas, chyba, że Porta nada Macedonii autonomię z chrześciańskim namiestnikiem. Przywódca opozycyi w Zofii oświadczył, że wojna może wybuchnąć każdej chwili. Jednak mobilizacyi armii bułgarskiej nie można się spodziewać przed ukończeniem żniw.

Anarchia w Albanii. W całej Albanii panuje anarchia. Wiele rodzin serbskich opuszcza Albanię, obawiając się gwałtownych rozruchów. Także w Macedonii położenie się pogarsza. Tamtejszy komitet rewolucyjny agituje za autonomią. Z różnych stron, zamieszkałych przez ludność albańską, wyjeżdżają oficerowie i urzędnicy tureccy w obawie o swoje życie.

Powstanie na Samos. Według wiadomości, nadchodzących ze Smyrny, 350 Kreteńczyków, między tymi kilku oficerów, wyladowało w Maraton-Kampos na wyspie Samos i maszeruje na Karlovasi celem poparcia powstania. Garnizon turecki schronił się do Vathy. Rząd francuski postanowił wysłać do Samos krążownik; rząd angielski zapewne to samo uczyni.

Nowe walki w Trypolisie. Po sześciogodzinnej walce w sobotę 21 b. m. zajął generał włoski Ragni oazę Sandzur i wzgórze Sidibethać, odległe 4000 metrów od tej oazy. Nieprzyjaciel został po bardzo zaciętej walce zmuszony do ucieczki. Straty włoskie wyniosły około 200 zabitych i rannych; straty nieprzyjacielskie również bardzo znaczne, nie można ich jednak było skonstatować.

KRONIKA.

Od Redakcyi. ***Obrazkowy Kalendarz Roli*** na rok 1913 już wyszedł z druku. Bliższe szczegóły podamy w następnym numerze „Roli". Dziś zawiadamiamy tylko, iż wszyscy, którzy przyszlą całoroczną prenumeratę na rok 1913 w kwocie 4 Kor. 50 hal. otrzymają Kalendarz odwrotnie. Prenumeratę już można przysyłać.

Dzisiejszy numer „Roli" jest ostatnim w tym kwartale. Kto za czwarty kwartał jeszcze nie zapłacił, niech przysyła odwrotnie pieniądze, gdyż inaczej następnego numeru już nie otrzyma.

(A. W.) **Poranek Skargowski.** Dnia 21 września b. r. odbył się w szkole 4-klasowej im. Długosza wraz ze szkołą im. Kochanowskiej w Podgórzu uroczysty poranek skargowski. Po pięknem i wzruszającem przemówieniu ks. Stanisława Chudyby uczenice i uczniowie odśpiewali patryotyczne pieśni i wygłosili stosowne do tej uroczystości deklamacye. W szkołach wymienionych odbywa się corocznie po kilka patryotycznych poranków, jak n. p. powstania listopadowego i styczniowego, w rocznicę zaprowadzenia chrześcijaństwa w Polsce, obrony Częstochowy, przysięgi Kościuszki, konstytucyi 3 maja i t. p. Poranki takie są znakomitym czynnikiem wychowawczym dla młodzieży, gdyż rozbudzają uczucia patryotyczne, miłości Boga i ojczyzny.

(W. G.) **Pożar.** W Bielanach koło Krakowa, we środę dn. 18 b. m. w nocy o godz. 12, powstał pożar, który zniszczył całe zabudowanie Józefa Janasa, a także cały inwentarz, tak, że mieszkańcy ledwie z życiem tylko uciekli. Szkoda była ubezpieczoną na małą kwotę. Jest to już trzeci pożar w tym roku w tej gminie, który jakaś zbrodnicza ręka niewyśledzonego sprawcy podkłada.

(R. R.) **Skutki pijaństwa.** Dnia 17 września po południu na rynku bocheńskim przyszło do kłótni pomiędzy wyrobnikiem Ignacem Schwabem i kilkoma rekrutami z Szarowa, którzy do Bochni przybyli w celu stawienia się przed komisyą poborczą, mianowicie było ich dwóch: N. Szewczyk i Jan Leki w stanie nietrzeźwym, więc zaczęli robić awantury z powyżej wymienionym wyrobnikiem, z czego wyniknął krwawy skutek, bo N. Szewczyk dobył noża z kieszeni i ugodził nim tak nieszczęśliwie Ignacego Schwaba, w pierś, że ten na miejscu wyzionął ducha. Sprawcę razem z jego kolegą, J. Lekim, aresztował w chwilę po wypadku p. Leopold Kunisiewicz, wachmistrz bocheńskiego posterunku żandarmeryi. Zabity osierocił troje małych dzieci i żonę. Są to skutki przeklętego alkoholu, który codziennie popycha ludzi do zbrodni.

(F. A.) **Rozpaczliwe położenie.** Z Borownicy, w powiecie brzozowskim, piszą nam: Smutne nad wyraz jest nasze położenie; deszcze leją z dwudniowa przerwą 30 i 31 sierpnia, już cztery tygodnie, owsy powyrastane, konicze i otawy gniją, roboty pod zasiewy jesienne wstrzymane, okopowiny gniją; ludność do rozpaczy doprowadzona traci nadzieję, aby mogło być lepiej. Gdy Bóg nie przemieni, czeka nas smutna przyszłość.

(F. A.) **Figle powodem pożaru.** Dn. 17 września w Lipie, w powiecie dobromilskim, stawiał murarz komin u włościanina Seńkowa. Gdy wylepił, chcąc się przekonać, czy ma dobry »cug« czyli przeciąg, zapalił wiecheć słomy i puścił do komina. —

Gwałtowny przeciąg porwał płonący wiecheć i zaniósł na dach, wzniecając pożar, przy którym spłonął budynek cały dopiero postawiony i bróg zboża. Budynek ubezpieczony w ruskim »Dnistrze». Do czego to prowadzą głupie figle.

(P. B.) **Przedstawienie amatorskie.** Dnia 25 sierpnia odegrano w Tarnowcu, w powiecie jasielskim, obrazek dramatyczny p, t. »Łobzowianie«. Przedstawieniem tem zajęli się studenci gimnazyalni, przebywający na wakacyach. Wywiązali się doskonale, szczególnie zasługują na pochwałę Marcin i Tomasz Dabrowscy, Joanna Klockówna i Władysław Dłuski.

(J. K.) **Rekolekcye**. Staraniem OO. Misyonarzy odbyły się w Białym Kamieniu czterodniowe rekolekcye przeznaczone dla nauczycielek okręgu złoczowskiego. Rada szkolna udzieliła na ten dzień wszystkim nauczycielkom urlopu. Po wysłuchaniu kazań i odprawieniu spowiedzi św. przystąpiły uczestniczki do Stołu Pańskiego.

(J. K.) **Pierwsza depesza.** Staraniem posła ziemi złoczowskiej p. Władysława Dębskiego powstał w Białym Kamieniu urząd telegraficzny. Pierwszą depeszę z tego nowopowstałego urzędu otrzymał wyż wymieniony poseł. Mianowicie zwierzchność gminna tego miasteczka wyraziła p. Dębskiemu serdeczne podziękowanie za jego starania się o ten urząd u władz odpowiednich w Wiedniu. Podziękowanie to wysłała depeszą, która była pierwszą.

Dzielna niedźwiedzica. W Bernie, w ogrodzie miejskim znajdują się oswojone niedźwiedzie. Jedno z rocznych niedźwiedziątek, ćwicząc się w wyłażeniu na drzewa, pokusiło się wleźć na wysoką jodłę i dotarło prawie do szczytu. Silny wicher zachwiał drzewem, a mały miś wpadł w trwogę. — Wyżej wspiąć się już nie mógł, a zejść niżej bał się; więc zaryczał ze strachu, gdyż poznał, że nieostrożny krok sprowadzi upadek z wielkiej wysokości na twardą ziemię. Jego towarzysze, widząc niedolę brata, chcąc go ocalić, wspinali się parę metrów po drzewie, ale wnet zsuwali w dół. Wtedy odważyła się matka niedźwiadka wspiąć



na drzewo i z wielkim trudem dotarła do małego. Teraz próbowała, obejmując go łapami, znieść niżej, ale gdy jej się to nie powiodło, chwyciła go w pysk i wśród radosnych okrzyków zebranego tłumu zniosła syna tak nisko, że dalej mógł już z łatwością zejść na ziemię. Niedźwiedzica wtedy, jakby chcąc zuchwalca za zbytnią śmiałość ukarać, wymierzyła mu kilka silnych uderzeń.

(J. K.) **Kobieta lekarzem.** Przed dziesięciu laty rzadko kiedy można było zobaczyć kobietę, pełniącą czynność urzędnika w jakimś urzędzie. Dziś po latach dziesięciu stosunki znacznie się zmieniły. Na kolejach, pocztach, w urzędach podatkowych pełno dziś pań, ba nawet na stanowiskach adwokatów i lekarzy spotkać je można. Takie zajmowanie miejsc przez kobiety wywiera na nich samych a zwłaszcza na rodzinę ujemny skutek, gdyż będąc w służbie nie mogą być dobremi gospodyniami ani matkami. Przed niedawnym czasem objęła w Brodach miejsce lekarza panna Wanda Offówna. Jest to pierwsza lekarka w tem mieście.

(J. K.) **Wypadek z bronią**. Ubiegłego tygodnia Władysław Wyrobek, uczeń IV. klasy gimnazyalnej w Brodach postrzelił z flobertu w czasie zabawy młodszego kolegę z I. klasy Stasinowskiego. Nabój utkwił w oczodole, tak że nieszczęśliwy, którego odwieziono do szpitala we Lwowie, straci skutkiem tego postrzału oko. — Uważajmy na dzieci. Nie dawajmy im broni do ręki, ani nie zostawiajmy jej nabitą nad łóżkiem, gdyż powiada polskie przysłowie: »Bieda nie śpi«.

(J. K.) **Wielka zguba**. Posłaniec pocztowy w Brodach, niejaki Oliwa, zgubił w drodze do pewnego kupca kwotę 1560 Kor. Strata to bardzo dotkliwa, gdyż biedny posłaniec będzie musiał ją spłacać przez całe życie ze swej skromnej płacy miesięcznej. Trudno liczyć na to, by w sercu kupca wzbudziła się litość dla posłańca, który niósł mu ową kwotę, gdyż jakkolwiek jest zamożny litość dla katolika rzadko kiedy, prawie nigdy nie wzbudza się w duszy żyda.

(J. K.) **Wielką kradzież** popełniono przed kilkoma dniami w Brodach u Dra Goldberga. Do mieszkania jego dostał się złodziej, który skradł broszkę z sześcioma dużymi dyamentami i dwa pierścienie: jeden w kształcie węża był wysadzany rubinami, drugi płaski miał w oprawie sześć małych dyamentów. Za złoczyńcą ślad zaginął. — Szczęśliwsi ludzie, którzy zamiast złota i dyamentów posiadają grunta. Grunta bowiem korzyść przynoszą, złoto zaś to rzecz, która się nie procentuje a zawsze łechce oczy chciwych cudzego mienia. Ziemi zaś nikt nie zabierze.

(J. K.) **Aresztowania wśród Rusinów**. Tydzień temu dokonała żandarmerya rewizyi w Pomorzanach w stowarzyszeniu »Ruska Drużyna«. Owocem jej było aresztowanie Andrzeja Rekszyńskiego za rozpowszechnianie prawosławnych książek i za uczenie pieśni rosyjskich. Zabrała też żandarmerya całą paczkę odznak rosyjskich. Aresztowanego odstawiono do aresztu sądowego w Złoczowie. — Bardzo to smutny objaw, że Rusini wypierają się religii ojców swoich, którzy kiedyś w obronie jej przelewali krew swoją.

Wylew Czeremosza. Czytelnik nasz, p. Jan Pagac, pisze nam, co następuje: Całą okolicę nawiedziła ogromna powódź, tak, że rzeka Czeremosz niosła mosty i domy. Stało się to wskutek oberwania chmury. Ja sam zostałem oblany wodami, aż pan dziedzic przyjechał i pomógł mi do ocalenia się z niebezpieczeństwa.

(M. W.) **Głuchoniemy pod kołami pociągu.** W czwartek dn. 12 b. m. przechodził przez tor kolejowy w Sibicy, pod Cieszynem, na Śląsku austryackiem, głuchoniemy robotnik Józef Gaś. Właśnie nadjeżdżał pociąg od Jabłonkowa; głuchoniemy robotnik, nie słysząc wcale sygnałów, szedł dalej torem, tak, iż lokomotywa z całym pędem uderzyła w nieszczęśliwego i odrzuciła go na bok. Gaś odniósł ciężkie skaleczenia. Odwieziono go do szpitala krajowego w Cieszynie.

Skarb w ziemi. W Pilznie, w Czechach, przy burzeniu jednego z domów, odkryto skarb, złożony z monet złotych włoskich, tureckich i holenderskich. Skarb przedstawia wartość 20.000 koron.

Po kongresie eucharystycznym. Z Wiednia piszą nam: Dn. 17 września b. r. udała się delegacya sekcyi polskiej, mianowicie: książę Paweł Sapieha, hr. Feliks Tyszkiewicz, pp. Witold Łaszczyński i Stanisław Grabiński do ks. kardynała Nagla, aby podziękować za mnóstwo dowodów życzliwości, jakie ks. kardynał Nagel przed i podczas kongresu eucharystycznego w Wiedniu Polakom okazał. Mimo nawału zajęć i mnóstwa recepcyj ks. kardynał Nagel przyjął delegacyę polską na osobnej audyencyi, podczas której z zadziwiającą znajomością naszych stosunków informował się o szczegóły, tyczące się naszego społeczeństwa. Przy pożegnaniu wyraził ks. kardynał Nagel żywą radość z powodu tak licznego i świetnego udziału Polaków w kongresie i raz jeszcze z naciskiem zapewnił o swej niezmiennej życzliwości dla Polaków.

Wybryki robotników moskiewskich. Z Lipska pisze nam jeden z przyjaciół: W Lipsku, w czesalni wełny jest dom dla robotników polskich, mieszczący 400 osób. Dnia 15 września poszli robotnicy, pochodzący z Galicyi, na przechadzkę. Gdy powracali, wstąpili na zabawę niemiecką, skąd odeszli późnym już wieczorem do swojej siedziby. W ich domu zaczaili się robotnicy moskiewscy i poczęli ich bić flaszkami z piwa i nożami. W ten sposób pokaleczyli dwóch ciężko, lżej zaś pięciu. Poranieni pochodzą z powiatu kolbuszowskiego. Rozbójników zabrała policya do ukarania.

Miłość Niemców ku Maryawitom. W poczytnej gazecie berlińskiej zjawił się artykuł, którego autor zaznajamia Niemców z sektą Maryawitów. Polecając uwadze rodaków tę sektę, autor podsuwa myśl zaszczepienia przy pomocy Maryawitów rozłamu w kościele katolickim na ziemiach polskich pod zaborem pruskim i złamanie w ten sposób oporności Polaków. Ładny zamiar, lecz nie do urzeczywistnienia.

Spalone dzieci. W Wielkim Komorsku, w powiecie świeckim, w Prusach Zachodnich, podczas pożaru w nocy u majstra piekarskiego Ribelleka spaliło się troje dzieci wdowy Grochalskiej. Matkę zdołano ocalić, ale jest poważnie chora wskutek zaczadzenia.

„Zemsta“ rabina. Do pewnego pana, mieszkającego na Pradze, przedmieściu Warszawy, przyszedł rabin-kwestarz po jałmużnę. Gdy otrzymał zbyt drobną monetę, wyraził swe oburzenie i oddalił się szybko. W tej chwili pan spostrzegł brak dwóch srebrnych łyżek. Dogonił więc rabina i zrewidowawszy go, znalazł przy nim łyżki. Rabin oświadczył, że zabrał je »przez zemstę«, że pan śmiał dać potomkowi wielkiego rabina tak drobną ofiarę...

Zaręczyny w kryminale. W więzieniu w Piotrkowie odbyły się niedawno formalne zaręczyny Macochowej z Żebrowskim, odsiadującym karę czteroletniego więzienia za szpiegostwo. Macochowa wysłała list do swej matki z prośbą o błogosławieństwo. Wkrótce w piotrkowskim kościele zostaną ogłoszone zapowiedzi. Ślub odbędzie się w październiku, o ile na to władza pozwoli. Pozna swój swego, nawet w kryminale.

„Biskup“ rekrutem. Pisma rosyjskie donoszą, że synod prawosławny wystosował do austryackiego ministerstwa wojny oświadczenie w sprawie powołania do wojska duchownego prawosławnego Jana Ileczkę, działającego koło Sokala. »Duchowny ten, jak podają owe gazety, został mianowany biskupem i wedle prawa kanonicznego, podlega przepisom synodalnym«. Dla zrozumienia całej rzeczy trzeba dodać, że Ileczko, syn chłopa ruskiego, wyjechał do Rosyi, skąd po wyświęceniu na duchownego prawosławnego, wrócił w Sokalskie, gdzie zaczął krzewić prawosławie. — Tymczasem władze wojskowe wobec tego, że uchylił się od wysłużenia służby wojskowej, powołały Ileczkę, który równocześnie został zamianowany biskupem prawosławnym, do wojska.

Bezpłatne sypialnie dla pątników. Prowadzone przez trzy lata roboty przy budowie bezpłatnych sypialni ludowych, na obszarze należącym do klasztoru Jasnogórskiego w Częstochowie postąpiły tak, że wykończono i na potrzeby pątników przybyłych na ostatnie odpusty oddano 13 sypialń, w których może znaleźć pomieszczenie 1.500 pątników. Przy sypialniach ludowych, dobrze oświetlonych i przewietrzonych, oraz zaopatrzonych w umywalnie, stoły, ławki i t. d. mieszczą się bardzo pożądane w czasie odpustów dwie tanie kuchnie, w których oprócz pieczywa, zimnego posiłku i herbaty, wydaje się potrawy gorące: barszcz, kapuśniak, kartoflankę i t. p. Pomieszczenia noclegowe dla pątników - włościan przy Jasnej Górze budować się będzie w ten sposób, że z czasem cały klasztor i kościół otoczone będą temi sypialniami, w których podczas uroczystości odpustowych znajduje kilka tysięcy wiernego ludu wiejskiego wypoczynek nocny i zdrowy tani posiłek. Na dalszym planie i zapewne w porozumieniu z Towarzystwem hygienicznem jest projekt budowy kąpieli ludowych. Przydałyby się i u nas w niektórych miejscach odpustowych jak n. p. w Kalwaryi, Leżajsku i t. p. takie sypialnie.

Przepowiadacz w kryminale. Za przepowiadanie końca świata osądzono mnicha prawosławnego, Inocentego, na pobyt w klasztorze bez prawa ukazywania się ludziom.

Śniadania w stajni. Zdrowotne działanie stajni, względnie jej powietrza, znane już jest od dziesiątek lat. Pobyt w stajni zalecano ludziom chorym na płuca. — Z czasem jednak ten leczniczy pobyt w stajni wyszedł z mody. Miejsce jego zajęły inne systemy lecznicze, jak kąpiele słoneczne i powietrze górskie — pozostała tylko kuracya mleczna: picie mleka »prosto od krowy«.



Obecnie znowu jest modnem przebywanie w krowiarni, zwłaszcza we Francyi, gdzie w wielu majątkach urządzono w stajniach stoły do śniadań dla letników. Te lokale śniadaniowe urządzone są bardzo praktycznie i czysto, tak, że goście wypijają swoją porcyę mleka w zaduchu stajni z wielkim apetytem. Ta odświeżona moda wchodzi teraz także w Paryżu w życie. Nie rzadko można więc widzieć piękne Paryżanki w krowiarniach dzielnic podmiejskich przy urządzonych stolikach, pijących na pierwsze śniadadanie mleko świeże »prosto od krowy«. Na zdrowych kuracya ta oddziaływa wybornie, dla chorych zaś nie jest bynajmniej szkodliwą — przeciwnie stwierdzono, że ciepły zaduch stajni wpływa umacniająco na osłabiony organizm. Rycina nasza przedstawia dwie strojne Paryżanki przy śniadaniu w stajni.

Szalony żołnierz. Strasznego zajścia widownią stało się niedawno miasteczko szwajcarskie, Romanshorn. Przed kilku tygodniami matka 25-letniego żołnierza, Hermanna Schwarza, który miał właśnie powrócić do służby czynnej w batalionie 73 piechoty szwajcarskiej, zawiadomiła przewodniczącego gminy w Romanshornie, że syn jej popadł w obłąkanie. Schwarz, zbadany przez lekarza batalionowego, został uznany za niezdolnego więcej do służby wojskowej i uwolniony. Ktoś jednak doniósł uwolnionemu o właściwej przyczynie jego wyłączenia z wojska, co tak rozdrażniło Schwarza, że zaczął grozić zabiciem przewodniczącego gminy. Zawiadomiono wobec tego policyę i władze okręgowe, które uznały, że należy niebezpiecznego człowieka uwięzić. Rozporządzenie to mieli wykonać dwaj policyanci miejscowi. Udali się więc do domu, w którym Schwarz mieszkał i spotkali obłąkanego w korytarzu. Schwarz pobił śmiertelnie policyantów, rzucił się do mieszkania i zamknął je na klucz. Na wiadomość o tem, kilku członków miejscowego stowarzyszenia strzeleckiego pośpieszyło na pomoc policyi i wtargnęło do mieszkania. Schwarz, ukryty tam za szafą, powitał wchodzących strzałami z karabinu. Skutek strzałów był straszny. Kilku od jego kul padło. Oczywiście, cofnięto się z niebezpiecznego domu. Schwarz zaś, przechodząc od okna do okna, zaczął strzelać do przechodniów, zabijając urzędnika kolejowego Webera, a następnie dwu innych jeszcze ludzi i raniąc kilku. W Romanshornie zawrzało jak w ulu. Rada gminna zebrała się na posiedzenie nadzwyczajne, sprowadzono na miejsce zajścia straż ogniową, a osoby, posiadające broń palną, otoczyły dom i zaczęły strzelać do okien. Noc już zapadła zupełna, gdy zdecydowano się wreszcie zdobyć szaleńca. Wtargnąwszy tam jednak ujrzano, że Schwarz uciekł, korzystając z ciemności. Mieszkanie szaleńca przedstawiało widok okropnego zniszczenia. Putap ściany, nawet podłoga podziurawione były kulami. Na wieść o ucieczco obłąkanego, w mieście i okolicy wybuchnął popłoch. Wszystkie sklepy pozamykano, domy zatarasowano, a kto miał strzelbę, puścił się w pogoń za szaleńcem, W końcu osaczono go w lesie i obezwładniono. Ogółem od strzałów szaleńca padło trupem 7 osób, a 9 odniosło rany ciężkie.

Zwierzę drapieżne zbawcą człowieka. Szczególniejszy wypadek zdarzył się w pewnej wędrownej menażeryi, goszczącej czasowo w pewnem mieście w Anglii. Pogromicielka zwierząt, niejaka panna Morelli, weszła do klatki z panterami, chcąc przed przedstawieniem zrobić próbę. W tej chwiii jedna z krwiożerczych, niebezpiecznych bestyj rzuciła się na nią i zatopiła w jej ciało straszne swe pazury.



Teraz stała się rzecz niespodziana. Druga pantera rzuciła się błyskawicznie na napastnicę i oswobodziła z jej szpon pogromicielkę. Nadbiegli z pomocą koledzy artystki wywlekli ją pokaleczoną, ale żywą z klatki. — Obie pantery rozdzielono i umieszczono osobno. Obrazek nasz przedstawia ten wypadek.

Fatalna depesza. Pewna młoda Węgierka, której mąż wyjechał za posadą do Ameryki, otrzymała od niego wiadomość, że świetnie mu się powodzi, wzywa więc ją, by niezwłocznie z dzieckiem przyjechała do niego, do Ameryki. Ucieszona zabrała dziecko, spakowała niezbędne rzeczy i wyjechała parowcem pośpiesznym. Pewnego dnia, gdy stała na pokładzie okrętu, podszedł do niej oficer okrętowy wręczył jej depeszę z Ameryki. Ale zaledwie spojrzała na depeszę, przeraźliwy krzyk dobył się z piersi nieszczęśliwej kobiety, a w chwilę później osunęła się bezprzytomnie na ziemię.



Rzucono się na ratunek i przedewszystkiem odczytano tajemniczą depeszę. Oto z miejsca pobytu męża omdlałej kobiety donoszono o nagłej jego śmierci!... Gdy młodą wdowę ocucono i pozostawiono ją w samotności, ta skorzystała z nieobecności ludzi i w przystępie bezgranicznej rozpaczy pochwyciła własne dziecko i skoczyła z niem razem w fale oceanu. Na nic się nie przydał natychmiastowy ratunek. Marynarze zdołali wyciągnąć z wody już tylko dwa trupy. Rycina nasza przedstawia ten straszny wypadek.

Zmiana ubrania w Chinach. Jak wiadomo, Chińczycy noszą spacyalny strój narodowy, bardzo brzydki i w niczem do naszego niepodobny. Rząd poznał niedogodności tego stroju i w ostatnim rozkazie wydał polecenie, dotyczące ubrania urzędników chińskich, którzy odtąd mają porzucić swój narodowy strój, a przywdziać europejski.

Żywot, dzieła i proroctwa Księdza Piotra Skargi. Pod tym tytułem ukazała się w »Wydawnictwie im. Tadeusza Kościuszki« jako Nr 53 praca Kaspra Wojnara o Skardze na tle współczesnych dziejów Polski. Dziełko to zawiera oprócz obszernego życiorysu złotoustego kaznodziei, rozbiorów, streszczeń i wyjątków z jego ważniejszych dzieł, także współczesne dzieje Polski, znacznie obszerniej traktowane, niż w innych tego rodzaju wydawnictwach, co daje czytelnikowi stosunkowo dokładny pogląd na czasy ostatnich Jagiellonów, Stefana Batorego i pierwszą połowę panowania Zygmunta III Wazy, to jest na najwspanialszą epokę z dziejów Rzeczypospolitej.

Autor prócz innych nowszych publikacyj uwzględnia w swej pracy także niedawno ogłoszone listy Skargi (w dziele ks. Sygańskiego: »Działalność Skargi na tle jego listów«), którymi oświetla najważniejsze osobistości i zdarzenia historyczne, przez co życiorys Skargi wiąże się organicznie z wypadkami dziejowymi i tworzy pewną jednolitą całość.

W ostatnim rozdziale p. t.: »Proroctwa Skargi a losy narodu« daje autor rzut oka na położenie nasze pod zaborami, przez co czytelnik nawet zupełnie nie-

uświadomiony nabiera ogólnego pojęcia o wielkości i potędze dawnej Rzeczypospolitej i obecnem jej położeniu, płomienne zaś uczucie miłości Ojczyzny, jakiem tchna dzieła Skargi, obficie cytowane w pracy K. Wojnara, musi przeniknąć duszę i serce każdego czytelnika, nawet najobojętniejszego, przeto dziełko to w obecnym roku jubileuszowym zasługuje na jak największe rozpowszechnienie.

Książka ta wyszła nakładem księgarni K. Wojnara w Krakowie, w podwójnem wydaniu; z przydaniem »Kazań sejmowych« Skargi (jednych w całości, innych z opuszczenlem mniej ważnych ustępów, lub w streszczeniu) obejmuje około 9 arkuszy druku z 10 ilustracyami (w tem reprodukcya obrazu J. Matejki »Kazania sejmowe«) i kosztuje 80 groszy, tudzież bez tych »Kazań«, jedynie z licznymi cytatami z nich i temi samemi ilustracyami, obejmuje 8 arkuszy druku i kosztuje 50 groszy.

Wydawnictwo przeznacza 10 procent dochodu na cele burs imienia Piotra Skargi dla młodzieży szkolnej i rzemieślniczej, przeto i z tego względu zasługuje na życzliwe poparcie.

Deficyt Towarzystwa Szkoły Ludowej. Z obszernego pisma, nadesłanego nam przez T. S. L. podajemy następujące wyjątki: Za tydzień odbędzie się we Lwowie walny Zjazd T. S. L., na nim zarząd główny, przyjętym zwyczajem, składa corocznie sprawozdanie ze swych czynności i dorobku. Jak wykazuje świeżo drukiem ogłoszone i rozesłanie sprawozdanie za r. 1911, Towarzystwo założyło i utrzymywało w Galicyi, na Bukowinie, na Śląsku i na Morawach, 2 gimnazya realne, 2 seminarya nauczycielskiej 1 kurs przygotowawczy do matury seminaryalnej, 5 szkół wydziałowych, 11 szkół pospolitych, 240 klas eksponowanych (na kresach wschodnich), oraz 3 szkoły przemysłowe uzupełniające, 1 szkołę gospodarstwa kobiecego, 1 szkołę handlową żeńską, 40 kursów przemysłowych i zawodowych, 45 szkółek, 114 kursów dla dorosłych analfabetów, 17 ochronek, 20 burs dla młodzieży szkolnej i rzemieślniczej, 17 uczelń i ognisk dla termisatorów. W tych wszystkich zakładach pobierało naukę ogółem około 25.000 osób. W dziedzinie oświaty pozaszkolnej T. S. L. stworzyło: 49 domów ludowych i 2400 czytelń i wypożyczalń z ogólną liczbą 339.361 tomów i 3067 czasopism. W czytelniach tych w ciąga roku 1911 wygłoszono i zorganizowano 5681 odczytów, 1420 obchodów narodowych, 388 przedstawień scenicznych, 403 zabaw towarzyskich, 134 wycieczek ludowych i szkolnych, 213 wieców oświatowych. Nadto T. S. L. założyło i prowadzi; centralną składnicę książek, 1 wypożyczalnię przeźroczy dla wędrownych prelegentów, 4 biura porady prawnej i pośrednictwa pracy, 3 muzea prowincyonalne; wydaje od lat jedynastu »Przewodnik oświatowy«, oraz cały szereg wydawnictw książkowych, przeznaczonych głównie dla czyteln T. S. L.

To nadzwyczajne wzmożenie się pracy oświatowej T. S. L. spowodowało, że wszelkie fundusze Towarzystwa zostały wyczerpane i ze wskutek tego znalazło się Towarzystwo w bardzo groźnem położeniu finansowem. Utrzymanie wszystkich szkół i budowa gmachów szkolnych zwłaszcza w Białej i Orłowej, pochłonęły tak znaczne kwoty, że wreszcie zabrakło zupełnie pieniędzy nawet na pensye nauczycielskie. Stałe niedobory lat ostatnich spowodowały, ze z końcem r. 1911 wynosił niedobór zarządu głównego 327.732 k. 33, a jeżeli dodamy do tego kwotę 186.526 k. stanowiącą niedobór przewidziany na rok 1912, to otrzymamy z końcem 1912 r. ogólny niedobór 514.258 k. 33 h., a więc przeszło pół miliona koron. I ta kwota musi być przez społeczeństwo zebrana dla T. S. L. w ciągu sześciu miesięcy w celu doprowadzenia finansów Towarzystwa do normalnego stanu. Konieczność stałych ofiar na T. S. L. jest oczywista. Jeżeli pragniemy rychłego wzmożenia się uśpionych sił narodu, musimy nie skąpić ofiar na cele oświaty, musimy wypełniać stale swój obowiązek, i to wszyscy bez różnicy stanów. Tej ofiarności nie można zakreślić granic ani co do jej wielkości, ani co do czasu jej trwania.

Podwaliną Towarzystwa powinny stać się wkładki stałych członków, a nie — jak obecnie — dorywcze i chwilowe datki i składki.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Antoni Jędryka w Ł.: Obrazkowy Kalendarz »Roli« na 1913 r. już wyszedł z druku i można go nabywać po 1 K. 20 h Prenumeratorzy, którzy nadesla całoroczna prenumeratę na rok 1913 w kwocie 4 K. 50 hal. już teraz, otrzymaja Kalendarz odwrotnie bez żadnej dalszej dopłaty. Za miłe słowa serdecznie dziękujemy. — Jan Januszewski w K.: Nadesłane wiersze są dobre, więc chętnie je wydrukujemy. — Marya Wawrzyk w P.: Kroniki jakie nam Pani nadesiała, były poprzednio dosłownie drukowane w codziennych pismach ślaskich. Do dwóch pism równocześnie jednej i tej samej rzeczy wysyłać nie należy. — Józef Kapuściński w L.: W języku esperanckim są różne ksiażki drukowane. Trylogię Sienkiewicza, jak również »Przewodnik po Krakowie«, można nabyć w każdej księgarni, cena zależy od jakości wydania. Jeżeli na list z zapytaniem, niema odpowiedzi w »Roli« lub listownie, jest to dowód, że list nie doszedł, a mogło się to stać dlatego, że był zamało opłacony. — Franciszek Zydroń w D.: Wzorów na strój ludowy, narodowy szukać nie trzeba, gdyż strojów takich jest jeszcze dość pośród ludu. Trzeba tylko gorąco zachęcać, aby nie zamieniano pieknych sukman i płótnianek na kuse fraczki miejskie. — Michał Szelest: W wierszykach znać myśl piękna i szlachetne usiłowania, ale brak, niestety, poetyckiego opracowania, przeto drukować ich nie możemy. — Karol Powroźniak w S.: Nie było w tem braku zaufania, lecz nie zrozumieliśmy Pana; przytem mieliśmy na uwadze interes Pana samego· — Kazimierz Wilkosz w N.: Donosimy, że 6 Kor. dziś otrzymaliśmy od sąsiadujacego z nami pisma; tam był przez pomyłkę poczty przekaz odesłany. — Franciszek Maciaszek: Numera sa po 10 hal. Proszę napisać których Panu brakuje. Prenumerata roczna z Kalendarzem wynosi Kor. 4·50. — Jędrzej Wnękowicz w W.: Niestety, nie posiadamy, ale można coś z Mickiewicza, Słowackiego i t. p. — E. Leśniak w L.: Dostanie Pan w każdej księgarni p. t. »Tajemnicza wyspa«, —

Potwierdzenia prenumeraty.

PP.: Józef Bujarski z M. 4 K. — Dominik z W. 5 K. — Kuśnierz Franc. z P. 4·50 K. — Ludwika Maksymczak z S. 5·50 K., Franc. Swatek z D. 2 K. — Flisek żandarm z D. 2 K. — Marcin Gorczyca z S. 2 K. — Antoni Robaczewski z L. 1 K. — Józef Witowski z D. 1 K. — Wojciech Koprek z S. 1 K. — Stanisław Kopleński z G. 2 K. — Jan Ziemba z N. 1 K. — Józef Stajblis z D. 1 K. — Jan Czerniec z P. 1·50 K. Jan Obrzud z B. 1 K. — Józef Węglarz z S. 1 K. — Lech Witołd z Ł. 1 K. — Julian Jurijczuk z S. 1·50 K. — Jan Smaczny z P. 1 K. — Tadeusz Matas z S. 1 K., Jamrozik Michał z O. 1 K. — Seniszyn Józef z G. 1 K. — Wnuk Józef z F. 5 K. — Chymczuk Grzegorz z Z. 1 K — Wilkosz Piotr z Ś. g. 1 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 24 września:

Pszenica	Kor.	10·50	do	10·85	za 50 kg.
Żyto	„	9·25	„	9·90	„
Jęczmień	„	9·—	„	9·75	„
Owies	„	9·—	„	9·30	„
Otręby pszenne	„	6·50	„	6·60	„
Otręby żytnie		6·10	„	6·30	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 24 września:

Buhaje	Kor.	215	do	400	za sztukę
Woły	„	300	„	480	„
Krowy	„	150	„	320	„
Jałówki	„	120	„	288	„
Cielęta	„	30	„	100	„
Owce i kozy	„	20	„	30	„
Świnie bita waga)		160	„	180	za 50 kg.

Zagadki do nagrody.

(Ułożył Fr. Zydroń).

1. LOGOGRYF.

. u p i .	ulubieniec.
. a m k .	zamknięcie.
. z d a .	dawna rasa mong.
. a n o .	miasto
. k c y .	działanie.

Uzupełnić kropki, aby z góry na dół czytany pierwszy rząd dał nazwę powieściopisarza, a ostatni tytuł jego dzieła.

2. SZARADA.

Na spacer wyszła pierwsza druga
I bardzo z tego była druga trzecia;
Z całości wynikło co? chyba przecie
Wszyscy zgadniecie.

3. SZARADA.

Wstecz pierwsza z drugą literą drugiej
Da nazwę rzeki wielkiej i długiej,
Wstecz drugiej, wraz z drugą pierwszej śmiele
Szukaj we większym kościele;
Z całości się wściekają
Ci, co ich tak nazywają.

4. SZARADA.

Wstecz pierwszej szukaj w czasie,
Wprost pierwszej trzeciej znów we flaszy,
Pół pierwszej, druga — ród to ptaszy,
A całości na atlasie.

5. SZARADA.

Pierwsza, pół drugiej wielka godność miał
Więc na siedzibę trzeci dostał,
A dla spaceru pół drugiej, trzecie,
Całość to miasto — znacie je przecie!

6. ZAGADKA.

Wprost jest to każdego człowieka mieszkanie,
Wstecz zaraz nie płaci, choć na to dostanie.

7. ZAGADKA.

Wprost ślad jakiś oznacza,
Wstecz statek na spoczynek zbacza.

8. SZARADA.

Pierwsza, pół drugiej to obca rzeka, wielka, daleka,
Drugie pół drugiej znaczy działanie,
A także, a jakże za liczbę stanie;
Całości trzeba szukać na ścianie.

9. SZARADA.

(Ułożyła Z. Pawłowska).

Pierwsze wraz z trzeciem znana to roślina,
Która nam miłość boska przypomina,
Drugie zaś z trzeciem miłe jest dla ucha,
Przyjemność temu sprawi, kto go pilnie słucha.
Wszystko bywa na ziemi udziałem człowieka,
Wszędzie go też dogoni, choć przed nim ucieka.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 5 października 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 37 »Roli«: 1. Arytmogryf: **Sienkiewicz-Potop.** 2. Szarada: **Madagaskar.** 3. Szarada: **Fujara.** 4. Szarada: **Karpaty.** 5. Figielek: **Maciek Bzdura.** 6. Szarada: **Opieka.** 7. Zagadka: **Czart-tracz.**

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali PP.: Adam Zieliński z M., Walenty Pasierb z Cz. (wierszem), Karol Baron z P., Franciszek Teper z M. K., Zofia Oraczewska z Ż., Franciszek Ryziński z S. W., Jan Niemiec z N. T., Józefa Hirszberg z K., Seweryn Ciompała z P., H. Łukawski z J., Marya Kopaczyńska z M., Jan Babaś z O., Koło Macierzy szkolnej z S., Adela Bezokówna z K. M., Drag Józef z R., Zarząd Kółka rolniczego w Górkach, Jan Małkowicz z G., (wierszem), Stan sław Czaja z Szcz., Jan Śnieg z Szcz., Władysław Sioło z K., Adam Warchoł z Z., Wojciech Szeleźnik z B., Józef Kapuściński z L., Franciszek Zydroń z D., Józef Adamczyk z S. W. (wierszem), Antoni Dutkiewicz z S. S., Władysław Stefański z G., Kazimierz Szeliga z B., Mieczysław Grzybowski z T., Józef Kaizer z J., Paweł Juroszek z L., Józef Kolatek z S., Franciszek Stańczyk z Z., Jan Piwowoński z G., Edmund Ćwiakalski z N., Andrzej Boroń z K., Janina Midowicz z S.. Wojciech Badzioch z H., Wojciech Bober z H., Kazimierz Suchodolski z H., Arkadyusz Szarek z S. W.. Róża Szewczyk z M., Agata Domin z H., Zofia Pawłowska z Z. Józef Maziarz z Z.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Nędzarze*** wylosował p. **Seweryn Ciompała** z P. zaś druga p. t. ***Z chłopskiej niwy*** p. **Kazimierz Szeliga** z B.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.